

Agnieszka E. Bem

Taksówką po Andach Wenezuela

4 lipca 2007 - 8 sierpnia 2007



Wszystkim Dobrym Ludziom,
których dane było mi spotkać na swojej Drodze...

Część pierwsza

Burza przetacza się nad nami. Środek nocy. Normalni ludzie o tej porze śpią w najlepsze... a my mkniemy busem przez żywioł prosto na lotnisko, acz tylko pośrednio... Tak naprawdę to na drugi koniec świata... choć to określenie zawsze wydaje się być idiotycznie głupie, zważywszy na to, że Ziemia jest okrągła i nie ma początku, ani końca. Przecież można ją obejść wokół i dojść do miejsca startu. Więc gdzie są końce? Nie ma... są tylko punkty widzenia, różne perspektywy.

Około czwartej nad ranem docieramy do Pyrzowic. W oddali wstaje różowy świt. Ku niemałemu zdziwieniu większości podróżnych pakujemy nasze plecaki w duże czarne worki na gruz. Bagaż nadany, teraz tylko przebrnąć przez wybitnie dokładną i zaostrzoną kontrolę na polskim lotnisku i w przestworza.

Krótki lot Katowice - Frankfurt, a potem już dłuższy Frankfurt - Caracas. Widok niepowtarzalny- Wielka Woda przez prawie 10 godzin lotu. Wszędzie wygląda tak samo ciemno-niebiesko. W sumie, czego innego się można było spodziewać? Urozmaicając błękit zaczynają pojawiać się wyspy. Za chwilę widać już stały ląd. Jakiś Wenezuelczyk zaczyna śpiewać z radości- wraca do domu po piętnastu latach nieobecności. Zaś mój współtowarzysz lotu (zarazem i rówieśnik) klnie pod nosem. W długiej, bo około dziesięciogodzinnej rozmowie dowiaduję się, że był na wymianie językowej w Szwajcarii. Lecąc tam nie miał bladego pojęcia o języku niemieckim. Teraz niby rozmawiamy po angielsku ale liczne niemieckie wtrącenia potwierdzają sens znikomej nauki tego języka kiedyś-tam w szkole. Ponieważ rok temu spędziłam trzy tygodnie jeżdżąc po Szwajcarii mamy o czym rozmawiać, jak i odnieść się do czego w przypadku uzyskiwania informacji o Wenezueli. Przesympatyczny mulat klnie pod nosem, że musi wracać do domu... znowu pod opiekę mamy... W sumie nie dziwię się... '87 rocznik i rodzice jeszcze się nie odzwyczaili od dawania dobrych rad i nie tylko.



Czerwona ziemia, zielone lasy, urocze zatoczki, niebieska woda, wyrastające domy. Podchodzimy do lądowania. Samolot dotyka ziemi. A więc... stało się! Nowy Świat! W najśmielszych marzeniach nawet nie śniłam, żeby postawić tam swoją stopę przed 20. rokiem życia... i do tego nigdy nie sądziłam, że będzie to Wenezuela- prędeż myślałam o USA, Kanadzie,

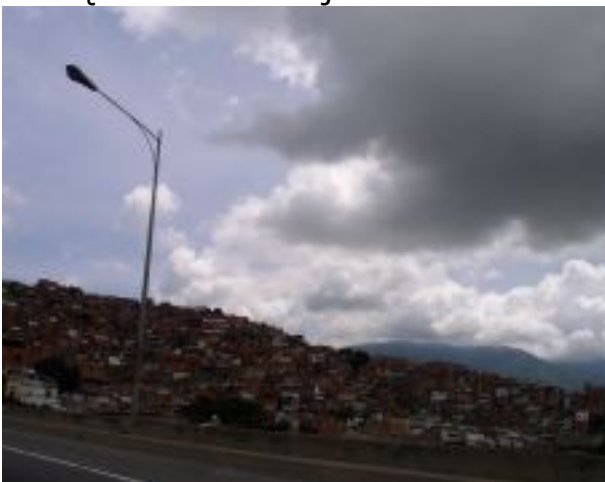
Zdj. 1 Caracas z oddali. Fot. A. E. Bem

Ekwadorze, czy Peru... ale o Wenezueli... a jednak.. Życie nieprzewidywalne jest.

Krótką kolejką, pieczętka zaspanego celnika i oficjalnie jesteśmy w Wenezueli. Odbieramy nasze worki, a nas odbierają amerykańscy współorganizatorzy kursu Ekologii tropikalnej- dr Viloría i dr Mata.

Wychodzimy z lotniska i uderza nas fala gorąca. Ludzie coś jęczą, że im za ciepło. A ja uwielbiam takie temperatury. Uniwersyteckim busem przebijamy przez miasto.

Caracas- stolica Wenezueli... ponoć jedno z najniebezpieczniejszych miast na świecie. Na ulicach widoczki podobne do tych z Afryki Północnej- różnorakie samochody z różnorodnymi obiciami, wgnieceniami i brakami. Minibusy z otwartymi drzwiami i stojący w nich ludzie. Tak jak w krajach trzeciego świata, jak w Egipcie... Z tą różnicą, że nikt na nikogo nie trąbi, a samochody są na ogół dość kolorowe. Czasem przejedzie jakieś auto z ludźmi w miejscu przeznaczonym do przewozu towarów. Czasem przejedzie auto z grubym i ledwo mieszczącym się w fotelu kierowcą, a czasem kierowca ma stojak na piwo... i bynajmniej nie pusty... a piwo bynajmniej nie jest zakapslowane... Jedziemy przez jeden łańcuch górski (bo lotnisko nie jest w samym Caracas) i przejeżdżamy chyłkiem przez miasto i finalnie docieramy do IVIC'u. Widoki niesamowite... Górki porośnięte lasem tropikalnym, gdzieś mgiełka. Słońce świeci, aczkolwiek w miarę upływu czasu podczas stania w korku, promienie stają się coraz bardziej złote.



Zdj. 2 Caracas, fot. A. E. Bem

Na górkach jak grzyby po deszczu (tropikalnym) wyrastają domy. I znów wyglądają prawie jak te w Egipcie- slumsowate, z tą różnicą, że mają dachy, kraty w oknach (ale tylko kraty, bo szyb już nie) i są kolorowe. Jeden dom - jeden kolor. Tęcza pudełek ustawionych jeden na drugim na zboczach i szczytach gór. Reklamy i wszelakie napisy też kolorowe i malowane ręką dziecka. Na zboczach mnóstwo śmieci i nikomu już niepotrzebnych rzeczy... drewniane połamane krzesło, plastikowe wiadro... na

prawie pionowym zboczu. To co nie porośło lasem ani kolorowymi pudełkami jest nagie - czerwona ziemia, tu i ówdzie zielone krzaczki.

Nie brak też widoku olbrzymich wieżowców. Jednak nie mają one w sobie tyle uroku (jeśli biedę można nazwać urokiem) co różnokolorowe pudełka. Mijamy kilka tuneli przepelnionych spalinami. Benzyna jest tu tania- 1 USD za 26 litrów... można jeździć.. ciekawe czy samochody mają drogie... są z całego świata.. może dałoby się wypatrzyć jakiegoś malucha?

Wieczorem kolacja w restauracji. Arepa, zwana też indiańskim chlebem jest pyszna (jak się potem okazało tylko do czasu...). Yuca smakuje jak: "gotowane ziemniaki ze szmatą", a to trzecie owinięte w liście manioku jest „takie o”. W smaku trochę jak seler.

Już na "dzień dobry" łapiemy kilka "robaczków" wielkości kciuka w plastikowe kubki i robimy małą wystawkę w kuchni będącej jednocześnie przedpokojem, jadalnią oraz pokojem socjalnym.

W nocy dokucza nam trochę chłód ale nikt nie robi sobie z tego większego problemu. Ponad 40 godzin bez normalnego snu trochę uodparnia. Mało kto z nas (o ile wogóle ktoś) spał choć trochę we wtorek.

860 ha lasu tropikalnego należy do IVIC'u. Całkiem niemało. Zwiedzamy kampus.. Mają tu wszystko... nawet reaktor jądrowy... już niepracujący. Biblioteka też jest imponująca- wpisana na listę UNESCO. Świetne zbiory. Dotykałam pierwszego numeru National Geographic!

Po południu trzy wykłady- pierwszy o bioróżnorodności, drugi o interakcjach między roślinami a zwierzętami w neotropiku, a trzeci, na deser, o półwieczu historii środowiska w rejonie Jeziora Maracaibo. Dr Viloría sprytnie przemycił nam niemałą część historii Wenezueli.

W 1498 roku podczas trzeciej wyprawy Kolumba dzisiejsze tereny Wenezueli zostają odkryte dla Europy. Żeglarze widzą drewniane chaty na palach w wodzie. Nieodzwonnie kojarzą im się z Wenecją. Stąd też i nadana terytorium nazwa- Mała Wenecja. Tyle dokładnie znaczy "Wenezuela".

Miasto Maracaibo (bo tego rejonu dotyczył wykład) zostało założone przez Niemców. "They came here for money, not to conquer" jak mówił dr Viloría ("Oni przybyli tu po pieniądze, nie po to żeby podbijać"). Przywieźli też ze sobą choroby, które zamieniły miejsca wcześniej zamieszkane w bezludzia jak również nowe zwierzęta (psy, krowy, kozy) i zmieniali środowisko naturalne. Przywieźli też wielu czarnych niewolników do pracy na plantacjach kawy i kakao. Indian również zmuszali do niewolniczej pracy- jak chociażby produkcji jedzenia dla białych. Nic dziwnego, że Indianie uciekają, przenoszą się z miejsca na miejsce, żeby uniknąć panoszących się na nieswojej ziemi przybyszów.

Pod koniec XIX wieku powstaje odcinek kolei do przewożenia produktów, zaś w latach 1911-1930 ma miejsce "oil boom". I równocześnie skuteczne pozbywanie się nikomu niepotrzebnych Indian. Kampanie naftowe działają bez skrupułów. Mimo samozaparcia i niezwyklej wojowniczości, a nawet poniekąd agresywności, z której słyną Indianie z rejonu Maracaibo eksterminacja idzie w najlepsze- kablami elektrycznymi, bronią palną, zatrutowaniem zbiorników z wodą pitną i wyrastającym "lasem wież". To czarna historia, której nie ma oficjalnie w podręcznikach. Jest za to w ciałach ludzi, którzy po dziś dzień noszą w sobie kule pozostałe po tamtych strasznych wydarzeniach.... serca zapewne też mają podziurawione... Dwa światy, dwie kultury, dwa odmienne punkty postrzegania i rozumienia otaczającego świata, brak zrozumienia, przemoc, siła, krew, a przecież ludzie. Ludzie? Czy oby na pewno? I po co to wszystko? Człowiek pozbawiony moralności staje się niczym innym jak zwierzęciem.

Po wykładzie czas na pytania. Biali zostali przedstawieni jako dewastatorzy przyrody, zaś Indianie jako żyjący z naturą w zgodzie i harmonii. Tak mogłoby się wydawać. Taki jest mit ekologicznego Indianina. Jak jest naprawdę? Znaczący uśmiech dr Vilorii zwiastuje odpowiedzi. Mit upadł... "Tak, mamy z nimi wiele problemów. Wcale nie są ekologiczni".

W nocy zawieramy kolejne znajomości z wszelkim neotropikalnym "robactwem". Olbrzymie goliaty wielkości kciuka, ćmy nocne i zawisaki wielkości 1,5 rozpostartej dłoni... robią wrażenie... Mgła nas spowiła... w końcu jesteśmy w górskim tropikalnym lesie mgłowym... 1800 m n.p.m.. Mimo tropikalnego klimatu polar jest niezwykle wskazany, a spędzanie nocy w śpiworze, który zawsze jeździ ze mną w polskie góry jesienią wcale nienajgorszym rozwiązaniem.

Pierwszy krok w las tropikalny, górski tropikalny las mgielny. Powoli zaczyna do mnie docierać gdzie jestem.

Charakterystyczny, niepowtarzalny zapach, dużo brązowych i żółtych liści na ziemi. Żadne nie przypominają tych rodzinnych. Są duże, mięsiste albo skórzaste, o zupełnie innym wzorze ożyłkowania. Dużo dźwięków... czasem kropi deszcz. Drzewa a na nich epifity.. pnącza, liany, bromelie. Wszystko inne, nowe, nieznanne. Atak na wszystkie zmysły z każdej strony. Dużo ptaków... w tym też kolibrów. Wszystko mokre i wilgotne... ale nie ma to jak gumiaki.

Las tropikalny... nowe wzory, nowe kształty... wszystko tak nieznanne, a jednak niewymownie bliskie... no i przede wszystkim piękne. Między prześwitami w lesie widać miasta... głównie dachy slumsów i las wieżowców. Niebo jest szare, chmury kłębią się w oddali... W pobliżu wiatr przegania małe białe chmurki, gdzieś opada mgła. Zbocza gór porośnięte są lasem tropikalnym. Słońce daje niesamowitą gamę odcieni zieleni... od tego bardziej żółtego niż zielonego do powiedzieć by można czarnego. Orgia chlorofilu! Żadna roślina nie jest nam znana, jeszcze...

Noc już od kilku godzin... za oknem las bynajmniej nie śpi- nieustannie śpiewa...

Trasa z Caracas na półwysep Araya.. 12 godzin jazdy przez znaczną część Wenezueli.

Po drodze całe spektrum kraju- od 5 milionowej stolicy zamieszkałej przez 1/5 wszystkich mieszkańców Wenezueli po samotne "domy" w sercu lasu. Caracas po raz kolejny okazuje się być miastem kontrastów- od wieżowców, schludnych budynków oraz kosztownych i ekskluzywnych samochodów po blaszane-gliniane domy bez szyb w kraciastych oknach oraz stare rzęchy. Kraty są wszędzie- nawet w oknach na jedenastym piętrze.

Dalej góry we mgle... stalowe niebo... ciemna zieleń... deszcz... slumsowate satelity Caracas. Las tropikalny.. słońce już nawet świeci. Kolejne wioski. Samotne, zagubione w lesie. Ludzie bardzo różni- znaczna ilość o korzeniach w Afryce. Ich domy- blaszane, gliniane, kolorowe, bez szyb, w oknach już tylko czasem kraty. Wszystkie domy w kształcie pudełek- prostopadłościanu ze ściętym ukośnie dachem. W niektórych

wioskach jest kilka domów, w niektórych jest nawet sklep, w innych nawet cmentarz. W co większych- na skrzyżowaniach albo progach zwalniających- mężczyźni lub kobiety, a czasem nawet dzieciaki sprzedający podróży jedzenie. Przy drodze dość często pojawiają się stragany- najpierw te oferujące jedzenie, a potem też i te z zabawkami- głównie lalkami. Lalki o twarzach czarnych i białych mniej więcej w równych proporcjach. Wszystko zawieszono i dyndające na sznurkach. Im bardziej na wschód tym forma straganów przechodzi ze stolikową na żerdziową- to znaczy na jednym patyku przymocowanym pod odpowiednim kątem wisi jeden produkt do sprzedania. Rzędów patyków jest kilka. Ciekawa konstrukcja. Im bardziej popołudniowa godzina, tym więcej ludzi siedzących przed domami na plastikowych krzesłach. Odległości między wioskami i miastami są znaczne. Nie jest tak gęsto jak w Europie. Kilka razy przekraczamy mostami rzeczki- wszystkie w specyficznym jasno-brązowym kolorze.

Górski las tropikalny, a potem las tropikalny przechodzą w coś w rodzaju sawanny. Tu domy wydają się już być lepszej jakości- oczywiście w porównaniu do tych poprzednich.

W końcu- Morze Karaibskie. Początkowo widoki jak z obrazka- zatoki, zatoczki, wyspy i wysepki- wszystko pagórkowate i porośnięte zielonym lasem... piaszczyste plaże... dużo palm... Później znowu pokazują się takie same domy jak poprzednio. Ludzie- ponieważ jest niedziela (chyba dlatego) zbierają się- kąpią się, piją coś, czasem nad morzem, czasem przed domem... i znów na plastikowych krzesłach przy plastikowym stole... Czasem matka z dzieckiem siedzą na betonowych schodkach.

Wszędzie propagandowe napisy- cytaty i portrety Simona Bolívara. Często występuje także nazwisko Chaveza.

Ciągle zieleń... później już trochę bardziej przeredzona. Chłopak leżący na rurociągu, osiołek, pudełkowate domy, pranie na kratkach... Finalnie, po 12 godzinach jazdy, mijania świetnych amerykańskich ciężarówek (żeby się taką stopem przejechać... ach!), pick-up'ów z ludźmi z tyłu- Araya.... czuć zapach morza.

Kraj bez wątplenia ciekawy... póki co w znacznej mierze widziany przez szybkę... Jednak pełen kontrastów i... biedy... Bieda daje głód, głód złość, złość i patologie...

Przyroda... niesamowita! Najpierw pustynia... niby tam nic nie ma... wydawałoby się... czerwona ziemia, kaktusy...



Pierwsza część- plaża, morze... dużo muszelek. olbrzymia ilość ptaków... Przelatują całymi stadami, tuż nad głową. Druga część- tereny nadmorskie- mangrowce i ich wystające korzenie. Z małych jamek w ziemi wyglądają strachliwie kraby. Część trzecia- właściwa pustynia. Czerwona ziemia, przez nią wiedzie czerwona droga. Kolce kaktusów wbijające się wszędzie i przy każdej możliwości. Przebijają się nawet przez gumową podeszwę trampek. W oddali góry towarzyszące nam dziś cały dzień. Niebo nad

nami jest szare, nad pustynią- niebieskie, nad laguną, do której potem docieramy czerwoną drogą- błękitne. Przy pierwszej części- pelikany w oddali i delfin konsumowany przez sępy.

Kolejna część dnia- żmudna przeprawa przez błoto. Sandałki się zasysają... W bagnistych rozlewiskach (poniekąd mającymi coś wspólnego z tym nadbużańskimi) na drzewach siedzą, w wodzie brodzą, a w powietrzu latają olbrzymie ilości ptaków. Smród jest odpowiedni. Ciągłe przed siebie, co krok lepszy widok. Dochodzimy do morza. Scenka urocza- złota woda, na niej łódki, małe zatoczki, w oddali zielona wyspa. Dalej rozwalający się stary, opuszczony dom- zamknięty, zielono-bordowy, odrapany, z odpryskującym tynkiem. Jeszcze dalej ścieżka wzdłuż wybrzeża. Mała zatoczka i droga na pozór się kończy. Idziemy przez wodę... Ciemną wodę... dużo trawy i sałaty morskiej na dnie muskającej stopy. Teraz sandałki wybitnie chcą zostać w mule przydennym. Woda sięga prawie do pasa. W plecakach aparaty, pieniądze, momentami zachwiania równowagi... Słońce ma się ku zachodowi. Ponad półgodzinny chrzest w Morzu Karaibskim kończy się uwiecznieniem na fotografii w spódniczce z sałaty morskiej. Dochodzimy do naszej wioski, takiej jak i inne- pudełkowatej. Prądu nie ma od 14.00 do 21.30.

Wioska rybacka... Asfaltowana uliczka pokryta dość grubą warstwą okolicznego piasku i drobnych kamyczków. Czasem mur, czasem bez muru... dom.. sionko-kuchnio-pokój... przestrzał na zewnątrz... czasem lodówka, zawsze plastikowe krzesła, zwane u nas ogrodowymi, albo wewnątrz albo wystawione przed domem. Prawie zawsze podłoga wyłożona jest płytkami. Często brakuje ścian wewnętrznych jako takich. Ich rolę pełnią wiszące na sznurach szmaty dzielące pudełka



Zdj. 4 Półwysep Araya, fot. A. E. Bem

od wewnątrz. Kolor ścian wewnątrz domu współgra z tym na zewnątrz- jest ten sam. W domach zawsze czysto i schludnie, choć czasem rzeczy są bardzo odrapane i stare.

Ulica, po obydwu jej stronach biegną chodniki, w cieniu drzew gdzieś odpoczywają psy. Z wyjątkiem jednego domu, z którego wydobywa się głośnie muzyka, wszędzie panuje cisza. Ludzie pracują tu wieczorem i w nocy- o drugiej w nocy wypływają w morze na połów ryb. Wracają rano, a w największy upał odpoczywają. Dlatego jak idziemy przez wioskę tylko czasem wybiegnie dziecko. Czasem w jakimś podwórku zbierze się kilka osób- musimy stanowić niezłą atrakcję. W sumie oni dla nas też.

Przy brzegu są przycumowane małe łódki. Oprócz muszelek i sałaty morskiej morze wyrzuca też dużo śmieci, martwe ryby. Pomarańczowo-biała łódka z zieloną wodą w środku, wsiadamy do niej.

Mała wyspa mająca połączenie ze światem tylko drogą wodną. Na wyspie kilka domów-pudełek, na szczycie powiewa wenezuelska flaga. Okrążamy wyspę, płoszymy kolonię ptaków. Ciągłe płyniemy wzdłuż wybrzeża wyspy. Dopływamy do kolejnej osady rybackiej. Na żółciutkim piaseczku stało już więcej pudełek, a nawet namiot. I jest nawet pies. Na górze w czymś w rodzaju wiaty siedzi człowiek- jego zadaniem jest wypatrywanie gołym okiem zbliżających się ryb. Po kącie załamania światła określa gatunek i liczbę sztuk. Gdy jest zadowolająca daje sygnał i łódki, ciągle gotowe, wypływają na połów. Wenezuelska flaga na szczycie oczywiście powiewa...



Zdj. 5 Półwysep Araya, fot. A. E. Bem

Właściciel łódki, którą płyniemy okazuje się polować na ryby z harpunem. Zabiera nas pokazać okoliczne rafy. Głębokość do 4-5 metrów, widoczność słaba, dużo planktonu i piachu. Jest bardzo silny prąd znoszący nas od łódki. Kamienie, koralowce, piach, morska trawa. Kilka rybek... i cholerny prąd znoszący nas od łódki. Ogórki morskie, małe przestraszone rybki, jedna duża. Wszystkie przestraszone i bardzo strachliwe. I prąd, z którym udaje nam się z trudem wygrać.

Po południu- góry... Czerwone hałdy... gdzieś pojawiają się zielone sterty kamieni... pustynia... Na jednym ze szczytów mijamy się z grupą kilkunastoletnich chłopców.

- Co robicie?
- Polujemy.
- Na co?
- Na ptaki...

Wyposażeni w proce szybko i nieśmiało przebiegają koło nas. Musimy jednak wzbudzać ich zainteresowanie bo jeszcze kilka razy przemykają koło nas. Potem siadają na szczycie naprzeciwko "naszego". Pod nimi żleb... słońce wydłuża swoje promienie- czerwone góry, zielono-żółte zeschnięte liście, kaktusy i złote światło...

Caracas nocą i znowu tylko z busa... Każdy dom- przynajmniej jedno światło, jedna żarówka, łysa śpiewaczka dyndająca przed wejściem... Całe góry świetlików...

Koło północy zatrzymuje nas Guardia Nacional, pierwszy raz i bynajmniej nie ostatni podczas tego pobytu. Wsiadka z busa- każdy ze swoim paszportem i podręcznym bagażem. Jak zwykle- plastikowy stolik. Tylko kilka osób musi pokazać co ma w plecaku... pro forma...

Po kilkunastu minutach wicia się w górę- Rancho Grande. Kilka światła, wchodzimy na drugie piętro... Schody skrzypią. Po nocy stacja

wydaje się być dość zapuszczona. Pokoje... są dwa.. dla 11 osób... metalowe piętrowe łóżka z dwoma zapleśniałymi materacami na każdej kondygnacji, otwarte na wieczność okno i nic ponad to...

Wokół las... znów śpiewa, słychać, że żyje... pięknie. Z jednej z rozłożystych gałęzi olbrzymiego drzewa patrzy na mnie para oczu... w świetle czołówki- czerwonych oczu.

Rozkładamy moskitiery, myjemy się w lodowato-zimnej wodzie. Żeby jak najbardziej ograniczyć kontakt z zatęchłymi materacami kładziemy na nie karimaty albo uniwersalne czarne worki na gruz.



Rancho Grande- obecnie stacja badawcza. W latach 20 XX. wieku miała być hotelem dla bogatych amerykańskich turystów. Wybudowana z rozmachem, dziś stoi opuszczona i zapuszczona. Na parterze rezydują skorpiony i węże, piętro wyżej skorpiony i nietoperze, jeszcze wyżej skorpiony i biolodzy. Na olbrzymim tarasie ornitologowie obserwują ptaki. W koronach drzewach zaczepione na ogonach w najlepsze bujają się

Zdj. 6 Rancho Grande, fot. A. E. Bem

wyjce. Ich wycie, niepodobne do niczego, niesie się daleko i jest nie do pomylenia z czymkolwiek innym. Przy braku mgły i chmur z tarasu widać pobliskie miasto- Maracay. Jest za czym tęsknić... za miejscami, które dla większości zapracowanych i goniących za niewiadomo-czym Europejczyków istnieją tylko w kryształowym ekranie telewizora... a jednak... One są. Troszkę chowające się w lesie, we mgle, troszkę straszące wyglądem i skorpionami, które przy odrobinie szczęścia można znaleźć rano w bucie. Ale są. Ginące w wiecznej zieleni.

Wokół zieleni, dużo zieleni. Orgia chlorofilu! Słychać las... Słychać, że żyje.. Pierwsza ścieżka prowadząca do źródła... Prawie płaska ale widać, że teren ogółem jest ciężki. Ścieżka ścieżką ale jeden krok poza nią- strome zbocze, wszystko porośnięte bujną roślinnością, która wciska się wszędzie tam, gdzie tylko może.

Mgielny las tropikalny... Wszystko jest zielone... Wszędzie dużo opadłych, brązowo-żółtych liści. Mrówki. Doszliśmy do źródła i strumienia. W środku lasu wzdłuż ścieżki poprowadzony jest rurociąg z wodą. Na złączach- wesoło tryska woda, mimo tego, że złącza są zaklejone czarną taśmą.

Potem druga ścieżka... Oprócz wszystkiego nowego, co było rano, olbrzymie drzewa. Pięknie.

I jeszcze jedna ścieżka- Porto Chuello i ostra droga pod górę po błocie, sypkiej ściółce i wystających korzeniach. Ciągłe ten sam przyjemny

i charakterystyczny zapach lasu tropikalnego. Uderza duża ilość zieleni i mała ilość kwiatów. Las tropikalny jest piękny.

El limon, najbliższe miasto od stacji badawczej Rancho Grande. Siedzące kobiety koło kramików, mało ludzi- samo południe. Dużo sklepów jest zamkniętych. Małe ale całkiem duże miasteczko. Przedmieścia Maracay- potężnego ośrodka uniwersyteckiego. Na ulicach prawie nie ma śmieci. A przejść na drugą stronę dwupasmowej ruchliwej ulicy można bez konsekwencji tuż pod nosem policji.

Coraz więcej widać w lesie... po pięciu dniach spędzonych w lesie tropikalnym zaczyna być widać coraz więcej szczegółów. Mimo tego, że wszystko wcześniej też było, dopiero teraz to zauważam. Tropikalny las jest zupełnie innym lasem niż ten ze wschodu Polski. Ale to zawsze las. Widać coraz więcej, trzeba tylko ciszy, spokoju, cierpliwości, szacunku i pokory... jak zwykle...

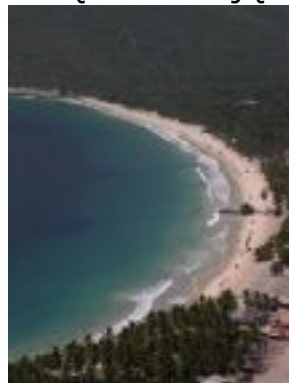


Zdj. 7 Heliconia spp., fot. A. E. Bem

W nocy wyprawa do lasu na oglądanie nocnych ptaków. Przyjechał do nas jeden z lepszych ludzi w całej Wenezueli od "podglądania" ptaków. Nie jest nawet ornitologiem... Ma 26 lat, dłuższe włosy, czapkę a la Che jak sam to określił. Nic o niczym nie świadczy.

Szukamy też skorpionów. Ale zamiast nich- wąż i cztery pary czerwonych oczu na drzewie.

O poranku wyprawa do lasu na oglądanie ptaków. Las pokazuje jeszcze więcej, jeszcze bardziej się otwiera. Dobrze, że są ludzie, którzy chcą i potrafią coś pokazać, zainteresować, podzielić się wiedzą, udowodnić sobą, że można żyć i robić to, co się kocha. Trzeba być tylko sobą? Iść swoją Drogą? Podążać w pięknie?



Zdj. 8 Karaiby, fot. A. E. Bem

Po śniadaniu- oglądanie ptaków z balkonu. W oddali na łysym drzewie orzeł biały. Piękny ptak. Siedział. Siedział i patrzył. Miał piękną głowę- całą białą z czarnymi oczyma i czarnym dziobem. Bardzo dostojną. Bardzo elegancką. Bardzo władczą. Z początku siedział do nas tyłem. Dopiero potem się odwrócił. Nadzieja? Później odleciał... "Orzeł na niebie... a moja dusza razem z nim..."

Zjeżdżamy z Rancho Grande nad morze. Kręta droga wzdłuż zboczy gór, wśród lasu tropikalnego. Kilka kapliczek po drodze. W jednej z nich parę dni temu miał miejsce odpust. Co zresztą widać- mnóstwo kwiatów i olbrzymia liczba palących się świec.

Miasteczko... Znowu pudełka. Znowu ta bieda i ten rozpiardol na podwórkach. Ogrodzenie składające się z bambusowych elementów wiązanych drutem co 30-40 cm. Stare, poobijane samochody- te specyficzne, duże pick-up'y, ludzie jadący z tyłu. Też tak chcę.

Na plaży chodzący sprzedawcy lodów ze styropianowej lodówki cały czas dzwonią dzwoneczkiem. Plantacja kakao... Ciągłe widać tą biedę, te pudełka. Ludzie mają w zwyczaju spanie na ławach. Często się ich takich widzi- odpoczywających na drewnianej ławce. Sklepy zazwyczaj nie są samoobsługowe- zamykane od góry na blaszaną klapę jak garaż z dużą ladą na całej długości pudełka. I ciągle te świetne duże ciężarówki.

Wioska rybacka. Na ziemi pod palmą rybak naprawia sieci. Inny, do połowy zanurzony w wodzie w małej zatoczce robi coś przy swojej łódce. Ktoś inny zawiesza pułapki na metalowych sieciach, które potem wrzuci w błękit morza. Ktoś jeszcze inny patroszy ryby, dzięki czemu można zbliżyć się do leniwych pelikanów na niecały metr. Ktoś coś krzyczy, dzieci biegają wokół.

Płyniemy łódką w morze razem z dwójką mężczyzn- właścicielami łódki i może ośmioletnim chłopcem zapewne synem któregoś z nich. Wpływamy w namorzyny. Olbrzymie... Choć podobno w Meksyku są jeszcze większe. W oddali szkarłatny ibis spłoszony przez nas ucieka. Kraby wyglądają ze swoich norek. Ale jak zwykle- bardzo nieśmiało. Chodzimy po namorzynach. Wbrew pozorom- cienkie korzenie są bardzo wytrzymałe. Zwalone drzewo tarasuje nam drogę.



Zdj. 9 W porcie..., fot. A. E. Bem

Na rafie nurkowanie z maską i fajką. Oprócz papuzic znanych z Morza Czerwonego- wszystko nowe. Olbrzymie sześciometrowe gąbki wywierają niesamowite wrażenie. Między skałami przeciska się murena. Jest bardziej granatowa niż brązowa, z jaskrawo-fioletowymi plamami. Ryba zmieniająca kolor w zależności od tego, gdzie się znajduje- czy pod kamieniem, czy w toni ma dwa rogi i jest dość płochliwa. Na drugiej rafie dużo parzących meduz. Ale i więcej większych ryb, jak i większa przejrzystość wody.



Przy brzegu w porcie mały chłopiec zarzuca kotwicę i szybko ucieka razem z młodymi przyjaciółmi, którzy przybiegli go przywitać. Mały człowiek i morze.

18. dzień w Ameryce Południowej. Kurs z Ekologii tropikalnej dobiegł końca. Profesor z Agą wylatują za kilka dni do Polski. Żegnamy się z nimi. Pakowanie. Autobus do Ciudad Bolivar ma być o

Zdj. 10 Kakao, fot. A. E. Bem

21:00. Około 17:00 pożegnanie z Rancho Grande, gdzie spędziliśmy ponad tydzień. Trochę szkoda. Wspaniały był to czas. Ostatnie przejście ścieżką w lesie. Wyjcie nad głową. Ale Droga czeka...

We dwójkę z Radkiem stoimy za bramą Rancho Grande. Przejeżdżają dwa autobusy. Żaden się nie zatrzymuje. Są przepełnione bo jest sobota, a kierowca widząc dwójkę ludzi i dwa duże plecaki nie chce sobie robić problemów. Pewnie myśli sobie to samo co kierowcy PKSów w Polsce: "Studenci? A niech sobie jakoś radzą." To i sobie poradziliśmy. Po czterech minutach łapiemy stopa. Kierowca forda pracuje na budowie jako operator dźwigu. Jego ojciec był Wenezuelczykiem, a matka pochodziła z Neapolu, a może odwrotnie. Mieszkał dwa lata we Włoszech ale kocha Amerykę. Chaveza nie lubi, Bush'a też nie. Kocha Amerykę. Ma niesamowicie jasno-niebiesko-zielone oczy. Jeździ dobrze, mimo tego, że na pierwszym zakręcie wyciąga butelkę Smirnoffa z za fotela i leje go sobie do plastikowego kubeczka oblewając tym samym pół kierownicy. Od czasu do czasu pali papierosa. Czy dojedziemy na dworzec po krętej górskiej drodze? Z głośników jesteśmy raczeni reage. Co kolejna piosenka, tym poziom głośności wzrasta. Klaksonu samochodu nie słychać już wewnątrz auta. Mimo tego dowozi nas szczęśliwie na el Terminal. Tuż przed dworcem nakleja na przednią szybę naklejkę TAXI i głośno zanosi się śmiechem na widok policji.

Na dworcu kolejne pożegnanie. Połowa ludzi z naszego kursu jedzie do Meridy, w Andy. Na dworzec dotarli z kucharzem z Rancho Grande. Nasz odjazd planowo miał być o 21:00, a rzeczywiście odjechaliśmy o 21:50. Jedziemy do Ciudad Bolivar. Droga właściwa.



Zdj. 11 Tak to jest jak się ma ogon..., fot. A. E. Bem

Część druga

22 lipca 2007r., niedziela (19. dzień)

Most nad Orinoko widać już z daleka. Dwa prostokąty i łuk lekko wygięty do góry. Przekraczamy most i jesteśmy w Ciudad Bolivar. Na stacji kupujemy bilety do Santa Elena. Odjazd o 19:30. Mamy cały dzień w Ciudad Bolivar (przyjechaliśmy przed 8:00).

Jesteśmy na Orinoko Passage. Chmurzy się. Miasto wydaje się być wymarłe. Mury budynków są odrapane, wokół wała się trochę śmieci. Większość sklepów jest zamknięta. Gdzieś tam kilka osób siedzi na chodniku, krawężniku, tudzież plastikowych krzesłach. Pada. Leje jak z cebra. Kryjemy się w kafejce internetowej. Żeby było orientalnie jej właściciel pochodzi z Bliskiego Wschodu.



Słońce przedziera się przez chmury. Chodzimy wzdłuż brzegu brązowego Orinoko. Rozmawiamy z jednym człowiekiem. W sumie sam do nas zagadał. Drugi raz spotkał Polaków. Popytał trochę o Wenezuelę, jak ją widzimy, polecił dobrą

Zdj. 12 Most nad Orinoko, fot. A. E. Bem

i tanią knajpę, w której potem jemy obiad. Wbrew przypuszczeniom było tam nawet czysto. Na pewno nie była to speluna, której się spodziewaliśmy. W środku- na trzech ekranach "Matrix", na czwartym, o wiele mniejszym przemawiający Chavez. "Matrix" i Chavez razem, zastanawiające... coś w tym jest. Nie przeszkadzało to jednak tutejszej muzyce zagłuszać wszystko i wszystkich.

Docieramy do centrum miasta- Plaza Bolivar. Na środku pomnik Simona Bolivara, w narożnikach cztery rzeźby kobiet symbolizujące cztery kraje oswobodzone przez Bolivara- Wenezuelę, Ekwador, Peru i Nową Grenadę. Obok zamknięta żółto-biała katedra. Zabudowa kolonialna- małe, niskie domki, kolorowe i wszystkie z okratowanymi oknami. W sumie nic takiego nadzwyczajnego ale tutejsi ludzie mówią, że są bardzo stare- 200 lat, i bardzo ładne. Jak na warunki europejskie to ani jedno, ani drugie.

Na dworcu autobusowym gorąco, gdzieś gra muzyka, trochę obskurnie. Popękane płytki, znowu walające się śmieci. Dużo tutejszych. O wiele mniej podróżnych niż w Maracay na dworcu. Jakieś stragany z badziewiem. Przy okrągłym stoliku obok siedzi małe dziecko i je arepę z zdaje się mięsem w środku. Siedzi i ciamie. Nasz znajomy, dzięki

któremu zjedliśmy tani obiad, będący zarazem ostatnim normalnym obiadem na czas dość długi, kręci się po dworcu. Znowu rozmawia z jakimiś nie-tutejszymi. Może ćwiczy angielski... cholera go wie...

Wykupiliśmy bilet u najtańszej firmy przewozowej więc nasz autobus jest raczej "lokalny". Jedyni turyści i obcokrajowcy to my. Głośna muzyka podgrywa sobie całą noc. Rozmowy z początku bardzo głośne, z czasem stopniowo cichną. Około pierwszej w nocy autobus staje w środku nicości. Do autobusu wchodzi żołnierz uzbrojony po zęby... coś mówi... Wszyscy ludzie wychodzą. No to my też. Wenezuelczycy są dokładnie przeszukiwani, a my pokazujemy tylko paszporty i mamy spokój. Pakujemy się znowu do autobusu i mkniemy dalej przez noc.

23 lipca 2007 r., poniedziałek (20. dzień)

Mgła, deszcz. Ciemność. Nic nie widać zza szyby autobusu. Za kilka minut wschodzi słońce. Wyłaniają się kształty gór stołowych. Ciemne, płaskie kształty na tle troszkę ciemniejszego nieba. Przystaje padać. Chmury przybierają różową barwę, mocno różową. Góry stołowe są teraz czarne, niebo- to nie pokryte chmurami też jest różowe. Podnosi, a raczej unosi się mgła nad ziemią. Piękny wschód słońca. Szkoda, że się nie zatrzymaliśmy choćby na chwilę przywitać nowy dzień... bo wstaje...

Wysiadamy w San Francisco. Tu, albo w Para Tepui (skąd wychodzi się na szlak) najmuje się przewodnika na Roraimę jeśli chce się iść na własną rękę. Wioska jeszcze śpi. Jeden Indianin podjeżdża do nas na rowerze. Angielski rozumie, ale sam nic nie mówi po angielsku. Asystuje nam cały czas.

Po chwili nadjeżdża kolejny autobus i wysiadają z niego trzy osoby. Para ma wykupioną wycieczkę, a drugi mężczyzna gdzieś niknie. Rozmawiamy chwilę z parą- ona jest ze Szkocji, on z Kanady. Po chwili odjeżdżają.

Wioska powoli budzi się. Stoiska z panindiańskim badziewiem są powoli rozkładane. Jakaś indiańska rodzina je śniadanie, wszyscy stoją przy stole, który postawili sobie zaraz koło drogi. Częstują mnie... Chleb z juki- tradycyjny dla tutejszych Indian Pemon. Słoik z czymś czerwonym, i garnek z czymś zielonym, co w konsystencji przypomina nasz szpinak. Zielone jest ostre, a czerwone- nie ma określenia na coś aż tak palącego... Chili z mrówkami z rana... łyż z oczu, ostatnie pół butelki wody i ostry posmak do wieczora...

Mało kto mówi po angielsku. Jegomość Indianin w czarnym kapeluszu dobrze nakreślił sytuację: "Żaden angielski,



Zdj. 13 San Francisco o poranku,
fot. A. E. Bem

żaden hiszpański.. tutaj są tylko Indianie Pemon. Tylko język Taurepan." I odszedł w sobie znanym kierunku.

Wioska jest turystyczna. Po boku drogi tradycyjne chatki. A za nimi- normalne dla Ameryki Południowej domki i anteny satelitarne. Na jednym domku namalowany jest nawet Indianin w pióropuszu... Tak, tak.. jakby nie było San Francisco jest wioską indiańską.

Indianka bez przednich zębów zmiata podłogę w swojej turystycznej, przydrożnej knajpce. Obsiedliśmy razem z plecakami jeden ze stołów. Próbujemy załatwić sobie transport do Para Tepui- w San Francisco powiedziano nam, że jeśli chcemy znaleźć przewodnika, to tylko tam. W San Francisco nikogo nie znajdziemy, nikt nas stąd nie zabierze na szlak. Do Para Tepui można się dostać na dwa sposoby- aczkolwiek jedną drogą. Albo idziemy pieszo- 7 godzin marszu, albo bierzemy jeepa. Wybieramy drugą opcję. No ale mamy problem w postaci braku jeepa. Kwitniemy w knajpie... Indianie dostali od rządu dwa jeepy na przewóz turystów z San Francisco do Para Tepui. Ale mało się tym przejęli i wykorzystują jeepy do swoich celów- pojazdy kursują wedle potrzeb Indian, oczywiście za opłatą dla kierowcy. Czekaemy ponad półtorej godziny na rządowego kolorowego jeepa. Kierowca w swojej łaskawości zgodził się nas zabrać do Para Tepui. Wszyscy inni okoliczni właściciele jeepów nie chcą bądź nie mogą nas zabrać. Pozostało tylko czekać. O 10.15 pakujemy się do środka pojazdu razem z całym dobytkiem i jedziemy czerwoną drogą. Wokół zielona trawa, w oddali góry stołowe. Po drodze mijamy samotnego wędrowca z indiańskim dzieckiem-przewodnikiem. To pewnie ten człowiek, który nam rano wsiąkł. Mijamy też indiańską babcie i dziadka, którzy rano przemaszerowali przez wioskę z drewnem- jak ich mijaliśmy siedzieli sobie w cieniu na szycie pagórka i odpoczywali.



Zdj. 14 Leonel, fot. A. E. Bem

Po 11stej ustaliśmy cenę z przewodnikiem. Z początkowych 900 USD zszedł na 220 USD za całą naszą piątkę i sześć dni w górach. Jego dom, jak i wszystkie inne w Para Tepui jest prostokątny, z prostokątnymi drzwiami i oknami, cały z mułu. Szyb w oknach ani drzwi we framugach nie ma. Ma za to telewizor, lodówkę i półkę z płytami CD. Kiedy on je obiad z liczną rodziną, my przepakowujemy się u niego przed domem. Chleb z juki i znowu to coś zielonego w garnku. Łyżek, widelców, czy noży się nie używa. Chleb się łamie i nabiera nim zawartość garnka. Zielona papuga skacze sobie w najlepsze po stelażu plecaka przewodnika Leonela i gada sama do siebie.

Po okolicy kręcą się wychudłe psy. Można policzyć ich żebra. Wyglądają dość nędznie. Zdaje się, iż zgodnie z

indiańskim zwyczajem, są zdane same na siebie. Chlebem z juki raczej się nie najedzą.

Na szlak wychodzimy o 13:07. Leonel przedstawia nam wszystkie charakterystyczne góry malujące się na horyzoncie. Ich nazw nie sposób zapamiętać za pierwszym razem. Największa z nich stanowi bynajmniej nasz cel. Roraima... ta nazwa padała już wielokrotnie z naszych ust podczas trwania kursu, jak i na dużo zanim spotkaliśmy się pewnej nocy w zielonym busie jadącym do Pyrzowic.

Przewodnik ma tempo zgoła rozdrożowe. Rozdrożowe bez plecaka... Zaś co do plecaka... Wszyscy Indianie Pemon mają swoje własne plecaki- samostojące plecione konstrukcje. Składają się one z szelek na ramiona i czoło plecionych z jakiejś trawy i czegoś w rodzaju siatkowanego stelaża z materiału przypominającego wiklinę. W środek pakuje się potrzebne rzeczy i całość wiąże sznurkiem. Problemu z dotarciem



Zdj. 15 Roraima, fot. A. E. Bem

do jakiegokolwiek rzeczy nie ma bo wszystko można wyciągnąć od razu na całej długości konstrukcji. Całość jest też lżejsza niż "białe" plecaki.

Około 17stej dochodzimy do pierwszego "obozu". Namioty innych już stoją. My rozbijamy swoje dwa. Kilka kroków dalej od zgromadzenia kilkunastu namiotów płynie rzeka. Woda jest czysta, górską, zimną. Można się w niej umyć, nawet popływać nago! No o co chodzi? Przecież wypada się umyć po kilkudziesięciu godzinach w tropiku bez kąpieli. Wstrętne muszki puri-puri wściekle gryzą. Wchodzą wszędzie... nawet do buzi... Okropne. I te maleńkie, śwędzące bąble krwi na całej skórze. Pamiątka z Gran Sabany.

Na kilkanaście namiotów i dwie indiańskie lepianki będące w pierwszym obozie spotykamy parę z Polski. Geografowie z Warszawy z PANu. Najpierw łazili po Andach, teraz przygnało ich na Roraimę. Niestety są już w drodze powrotnej.

24 lipca 2007r., wtorek (21. dzień)

Roraima przed nami. Majestatycznie duża. Szlak wiedzie "pod górkę". A to podobno jeszcze jest płasko. Ściągnę znowu odmówiło współpracy. A jutro ma być pod „górkę”. Musi się jakoś dać...

Przekraczamy dwa potoki górskie- pierwszy, ten w którym kąpaliśmy się wieczorem, następny za pół godziny. Ten drugi jest już głębszy i ma silniejszy nurt. Woda sięga lekko ponad kolana. Oby się nie wywrócić na

kamieniach i nie pomoczyć śpiwora, kurtki, tropiku od namiotu, aparatu, jedzenia. W drugim strumieniu po przeniesieniu plecaków na drugi brzeg znowu pływamy.



Zdj. 16 Plecak Leonela, fot. A. E. Bem

brazylijskiej Roraimę można zdobyć tylko po klamrach. Nie jest dobrze. Oprócz ścięgna wysiada mi biodro. Dociągam prawą nogę do lewej. Trzy nogi, dwie ręce, plecak i w górę...

Idziemy przez las tropikalny. Palmy drzewiaste. W końcu udaje nam się podejść pod samą ścianę Roraimy. Widoki precudne. Cała Gran Sabana w dole. Jak to musi wyglądać ze szczytu? Nasz obóz z drugiego dnia jest już malutki z tej wysokości.

Małe, śmieszne ludziki z dużymi plecakami mozolnie pnące się do góry- taki ukazuje mi się widok w pewnym momencie. Wodospad. Woda spada bezpośrednio na szlak, na mnie. Jestem cała mokra. Kamienie wyslizgują się spod nóg. Złapać też nie ma się czego- same kamienie są nijak nieprzytwierdzone do podłoża. Czerwone.

Coraz wyżej. Mgła. Czarno-szare kamienie. Szarawo. Gdzieniedzie jakieś rośliny. Wyżej...

Szczyt. Płaskie kamienie. Czarno-szaro-bure. Dużo wody i błota.

Rozbijamy dwa namioty na półce skalnej. Mamy widok na całą Gran Sabanę. Ściemnia się. W oddali przetacza się burza. Z ciemnych chmur- jasność. Widać maleńkie światła Para Tepui, w oddali... Pioruny, deszcz, ciemność, wiatr. Pod nawisem, pod którym znajduje się nasza półka nie pada. Leonel rozbił się ze swoim namiotem na innej półce.

Jest zimno. Czapka i rękawiczki obowiązkowo! Swoje światło na czapce. Burza ciągle przetacza się nad Roraimą. A my na szczycie obozujemy.

Droga pod górę. Widoki przepiękne...

Z namiotu widać w oddali przetaczającą się burzę. A wcześniej- złote światło oświetlające ścianę Roraimy przez zaledwie kilka chwil. Ulotne piękno.

Po drodze kilka razy mijaliśmy Atty- mrówki ogrodniczek z żagielkami z liści, które taszczą do swojego mrowiska dla grzyba. Hodują go.

25 lipca 2007 r., środa (22. dzień)

Droga wiedzie wybitnie pod górę. Kamienie są duże, wysokie na pół metra. Ciągle pod górę. Idziemy naturalną rampą. Od strony

26 lipca 2007r., czwartek (23. dzień)

W nocy zimno jak cholera. Ale da się wytrzymać. Wszystko się da, jak się chce.



Chodzimy po rozległym szczycie Roraimy. Roraima w języku Taurepan (Leonel twierdził, że jego język, czyli język Indian Pemon tak się właśnie nazywa. Mimo tego, iż opracowania naukowe podają trochę inne informacje bardziej wierzę Indianinowi, który chyba lepiej wie jakim językiem mówi) znaczy Wielka Błękitna Góra. Z oddali tak właśnie wygląda... wielka i błękitna.

Wbrew pozorom szczyt góry stołowej nie jest płaski. Po pierwsze, jest bardzo rozległy. Po drugie, ma mnóstwo mniejszych skałek i szczytów. Roślinność jest skąpa ale bardzo specyficzna i w większości przypadków endemiczna. Dużo kwiatów- w tym kwitnących dzbaneczników i

maleńkich rościnek. Skały są czarne. Wiatr bez wytchnienia pędzi chmury. I robi to bardzo szybko. Szaro. Od czasu

do czasu pada. I to całkiem nieźle. Nogi grzęzną w błocie albo w wodzie.

Pomarańczowy piasek. Dochodzimy do krawędzi. W dole przepaść i skalna ściana w dół. Chmury wynurzające się z dołu. Wszystko szybko się zmienia. W przeciągu minuty, dwóch... W dole zielony las tropikalny. Duże płyty skalne stanowią w znacznej mierze podłoże. Są śliskie bo porośnięte glonami. Cholernie śliskie. Kilka razy udaje mi się nawet stracić równowagę.

Szczyt Roraimy oferuje nie tylko Dolinę Krzemową pełną kryształów górskich ale także małe potoczki i jeziorka z krystalicznie czystą wodą.

Z naszej obozowej półki skalnej co trzy minuty zmienia się widok. Różne wariacje kolorów, gra światła na Arapepu Tepu. Leonel zgodził się napisać kilka podstawowych słów w swoim języku. Rysuje mi też kolejno wszystkie szczyty górskie od Roraimy. Dostałam rysunek najwyższych gór stołowych na świecie od „tamtejszego”.

Zapowiada się kolejna zimna noc na szczycie Roraimy. Ciemność rozświetla blask księżycy. W oddali znowu widać światła Para Tepui, San Francisco oraz jakieś dwa samotne, nieznanne. Szaro-białe chmury na tle granatowego nieba rozświetlane błyskami, z oddali żółtymi blaskami. Pod gwiazdami grzejemy ręce.

Zdj. 17 Chmury, przepaść, przestrzeń...
fot. A. E. Bem

Leonel rozmawia z rodziną przez krótkofalówkę swoim płacząco-odrętwionym językiem. Ogółem rzecz ujmując tutejsi Indianie przejęli biznes na Roraimę- pracują jako przewodnicy i tragarze. Większość zagranicznych turystów wybiera opcję z niesieniem swojego bagażu przez tragarza i oczekuje podania jedzenia. My wybraliśmy przyjemność czucia tego, co spakowaliśmy na własnych plecach oraz własnoręcznego gotowania i jedzenia ryżu przez cały tydzień. Mnie udało się zakupić jeszcze w San Francisco chleb z juki, będący czymś w rodzaju cienkich sucharów. Najgorszy był brak mięsa. Nigdzie w Wenezueli nie można kupić żadnej konserwy. Sera topionego też nie. Pozostawały tylko zupy z proszku z pollo (kurczaka) z dodatkiem makaronu, tudzież ryżu spożywane dwa razy dziennie i zagryzane krakersami „Club Social”. Jak doświadczenie pokazało, udało się przeżyć bez mięsa ponad tydzień w górach... nawet dla kogoś kto obiad bez mięsa nie nazywa obiadem...

27 lipca 2007 r., piątek (24. dzień)

Schodzimy. W jeden dzień robimy trasę, którą „do góry” pokonywaliśmy dwa dni. Zmierzamy do pierwszego obozu. Po drodze pada deszcz. Ścieżka zamienia się w rzekę. Znowu jest cholernie ślisko. Wodospad, z którego kilka dni temu woda ledwo kapła zamienia się w wodospad z prawdziwego zdarzenia. A ścieżka w prawdziwą rzekę. Woda spływa po kamieniach ostro w dół. Płynie tam, gdzie wcześniej był tylko piach. Robi się błoto. Ale przynajmniej nie jest zimno.

Przystanek w drugim obozie. Zorganizowane wycieczki mają podawane gotowe jedzenie- sałatkę i sok. To nie to samo co chińska zupka z ryżem. Woda z potoku niby zdrowa ale...

Górskie potoki przybrały... zarówno w wodę, jak i na sile. Momentami wody jest do połowy uda. Momentami trudno jest ustać w miejscu, postawić nogę na dnie. Japońska wycieczka ma ponton... nawet...



Orzeźwiająco-myjąca kąpiel w pierwszym potoku. Olbrzymie dwa pęknięte pęcherze na stopach nie pozwalają pływać. Tym razem już jako jedyni kąpiemy się. Wszyscy inni tylko przechodzą na drugą stronę i idą dalej. Do drugiego potoku i pierwszego obozu tylko 30 minut marszu... Bolesne 30 minut...

Bolesne 30 minut drogi. Każdy krok boli. Pęcherze dopiero po przeciągającej się w wieczność chwili udają się „rozchodzić”. Biała droga. Po lewej jej stronie w zielonej nicości stoi kościół. Wokół zielone trawy. Wielka Błękitna Góra za moimi plecami została schowana przez chmury. Niebo przybiera ciemno-granatowy kolor. Nad głową szybuje wielki ptak.

Ma czarne skrzydła i biały tors. Od strony pierwszego potoku nadchodzą jacyś, jedni z wielu, indiańscy tragarze. Droga się rozwidła. Pytam, którą mam iść żeby dotrzeć do celu. Nieważne, nieistotne. Obydwie prowadzą do celu. Mogę wybierać na rozdrożu. Rozdroże. Wybieram ścieżkę po prawej stronie- biegnie zboczem góry, a nie u jej podnóża. I lepiej z niej widać tego ptaka. Znowu pytam Indian, tym razem co to za ptak.

- Samuro.

Cokolwiek to znaczy. Następnego dnia pytam o to Leonela.

- Kondor.

Dziwna sprawa bo kondory występują tylko w Andach (wg. S. L. Hilty'ego).

Nieważne jednak jakim dokładnie gatunkiem ptak jest ale szybuje jeszcze chwilę i odlatuje dalej. Słysząc go. Woła kogoś.

Całą noc pada deszcz.



Zdj. 19 Widoki ze szczytu Roraimy, fot. A. E. Bem

28 lipca 2007 r., sobota (25. dzień)

Wielka Błękitna Góra w chmurach za naszymi plecami staje się coraz mniejsza. Każdy krok i jesteśmy od niej dalej.

W nocy padał deszcz. Jest błoto i cholernie ślisko.

Para Tepui, dworzec w Santa Elena, autobus do Caracas o 21:00.

29 lipca 2007 r., niedziela (26. dzień)

Jesteśmy w Caracas o dwudziestej z minutami. Zachód słońca. Fioletowo-czerwone chmury malowane pędzelkiem. Na dole złoto zachodzącego słońca. W tle wieżowce Caracas. Już noc. Znowu góry światełek. Każde światełko- istnienie.

Godzina i piętnaście minut... tyle dokładnie mieliśmy czasu na dworcu w Caracas pomiędzy kolejnymi autobusami. 21:30 odjeżdżamy do Meridy.



Zdj. 20 Kolorowe Caracas, fot. A. E. Bem

30 lipca 2007 r., poniedziałek (27. dzień)

W Meridzie jesteśmy około 16stej. Andy wyglądają jak nie Andy. Choć w sumie jak mają wyglądać? Od pewnej wysokości- i to wcale nie dużej- są całe w chmurach. Wydawałoby się, że ot.. górki...

Znajdujemy posadę z pokojem dla pięciu osób. I z ciepłą wodą! Wieczorem pada deszcz. Ciepły... w końcu są to tropiki... zimne tropiki z ciepłym deszczem.

Nocny spacer po Meridzie. Ulice krzyżują się pod kątem prostym. Biegają albo ostro w górę, albo ostro w dół. Miasto nie prowadzi nocnego życia oprócz jednego sklepu, supermarketu i kilku barów. Jakieś dwie drużyny grają przeciwko sobie mecz w piłkę nożną na boisku. Ale trybuny bynajmniej nie pękają w szwach.

Mimo wszystko, nocą w Meridzie mija się ludzi, samochody nawet częściej, a całe miasto jest ładnie oświetlone. Plaza Bolivar, mały placzyk z ładnie zadbaną zielenią i królującym na środku pomniku Simona Bolivara na koniu.

31 lipca 2007 r., wtorek (28. dzień)

Merida... Miasto w Andach. Idę zgodnie ze strzałkami prowadzącymi do Teleferico- kolejki linowej na Pico Espejo. Grupę zostawiłam w pokoju posady. Nie dość, że długo rano śpią, wstają pół dnia, to na koniec wybierają się na śniadanie do restauracji.

Kupuję bilet na następny dzień na Pico Espejo w relacji do góry-na dół. Pomimo zapowiedzi, iż biletów na rano nie sprzedaje się, mi udaje się kupić bilet na godzinę 8.30. Chyba tylko dlatego, że kupowałam dla jednej osoby. O przepraszam, dla jednej osoby i wiernego plecaka.

Sklepów z okolicznym badziewiem mało. A jak już są to albo ceny mają bardzo wygórowane albo badziew tak straszny, że aż przykro patrzeć. Nic się nie nadaje nawet na najbardziej kiczowatą pamiątkę...

Krążę po okolicznych uliczkach. Ludzi jest nawet całkiem sporo. W uliczkach prowadzących do Plaza Bolivar są porozstawiane stragany. Ale bynajmniej nie dla turystów, tylko takie dla normalnych ludzi, tutejszych.

Muzeum archeologiczne w Merdzie... Jedna mała salka. A miało być tak dużo eksponatów. W jednej z bocznych uliczek odbiegających od Plaza Bolivar artyści sprzedają swoje obrazy. Wielu z nich, właśnie tu, na ulicy tworzy. Część zaś siedzi przy plastikowych stolikach i coś popija. Jeden z artystów zwraca moją uwagę. Starszy już człowiek- długie dready i broda do pasa. Brązowe. Coś pali. Uśmiecha się i za wszelką cenę usiłuje zrobić mi tatuaż.

Niskie domki. Jednopiętrowe. Kolorowe. Niektóre ładne i zadbane. Inne odrapane z odchodzącą farbą. Takie małe polskie Zakopane.

Po południu prawie wspólny (bo Paula jednak została w Meridzie) wyjazd do Jaji- podobno najlepiej zachowanej i odremontowanej wioski andyjskiej w całej okolicy. I miało być Indian trochę... Chyba łącznie z nami... Jednak.. od początku...

Jest już po piętnastej. Na dworcu kierowca chickenbusa do Jaji nie chce nas zabrać. Mówi, że jak nas weźmie to nie będziemy mieli jak wrócić na noc do Meridy bo jego kurs jest już ostatnim w tym dniu i nic więcej nie jedzie. Radek wpada na pomysł pojechania taksówką, ustala jakąś śmieszna cenę z taksówkarzem i we czwórkę pakujemy się do czerwonego, rozsypującego się chevroleta. Jedziemy taksówką w Andy! W najśmielszych rozmyślaniach nie przyszło mi na myśl, że po Andach będę jeździć taksówką. A jednak!

Jaji... biało-błękitna wioska, kościół przy głównym placu będącym w remoncie. Kilka metrów od centralnego placu babcia pasie krowy. Ulice biegną jeszcze bardziej ostro w górę i w dół. Łapacze snów i panindiański badziew jest wszędzie. A szkoda...

Za to droga Merida-Jaji jest już bardzo ładna i malownicza. Wiję się i kręci... trochę jak droga do IVICu... Jak droga w dobrych górach. Im wyżej tym robi się chłodniej... Czasem droga leży obok, a na niej palą się puszki. Służą jako sygnalizator sterty asfaltu. Ciekawe, pomysłowe i pewnie tanie w wykonaniu. Nasza chevroletowa taksówka po Andach prowadzona trzęsącymi się rękoma kierowcy o czterech parach okularów wzbogacona jest o kasetowe wycie jakiejś pani. Znaczą się śpiew... Żadna nowsza muzyka niż ta z lat '50-'60 nie wchodziła w rachubę- rezonans i po samochodzie...

Gdzieniedzie, tam gdzie na drodze jest nawet nawierzchnia nie leżąca obok niej tylko na niej, droga się wgłębia, „wklęsły leżący policjant” i przepływa przez nią strumyk, będący tuż przed chwilą małym wodospadem.

1 sierpnia 2007 r., środa (29. dzień)

6:30 pobudka.

7:30 wyjście z posady.

8:25 już w wagoniku Teleferico prowadzącej na prawie 5 tys. m n.p.m. na Pico Espejo. W jeszcze małym sznureczku ludzi oczekujących do wagonika najdłuższej kolejki linowej w Ameryce Południowej poznaję parę Belgów. Ona jest nauczycielką, a on inżynierem. Wyglądają jak dzieciaki. Ale cóż... pozory mylą.. Są bardzo sympatyczni.

Na każdej stacji, których liczba opiewa magiczną czwórkę (plus piąta na szczycie) przesiada się do innego wagonika.

Merida leży na ok. 1500 m. n.p.m.. Pico Espejo wznosi się zaś na 4700 m. n.p.m. Górski las tropikalny. Pojawiają się drzewa z białymi liśćmi. Las rzadnie. Staje się jakby coraz niższy... coraz bardziej karłowaty. W dole za nami dolina z Meridą i okolicznymi miasteczkami oraz wioskami.

Ciągle do góry. Jakieś dziecko płacze w wagoniku kolejki. Inne zaś się śmieje i głośno coś krzyczy.

Nie ma już drzew. Są tylko małe roślinki i duże kamienie. Wszystko jest w barwie żółto-brązowo-może-lekko-czerwono-zgniło-zielono-szarej. Paramo. Robi się chłodno. Kamienie. Tylko kamienie.

Pico Espejo... +1°C, serce wściekle walące przez 3 minuty co 10 minut. Za duża zmiana wysokości w za krótkim czasie. Z oddechem też mam momentami problemy. Przed oczami wirują sobie mroczki. „Lille dizzy” jak określił to Belg. Ale wszystko nawarstwia się okresowo. Niby przechodzi ale za jakiś czas wraca.



Ponad chmurami. Błękitne niebo. Prawdziwie błękitne. Chmury prawdziwie białe. Na szczycie Matka Boska z rozłożonymi rękoma. W sumie... szkoda albo może i dobrze, że nie ma Bolivara.... Choć w oddali i tak majestatycznie stoi na jednym ze szczytów jego posąg. Po lewej stronie- Pico Bolivar. Najwyższy szczyt

Zdj. 21 Ponad chmurami, fot. A. E. Bem

Wenezueli- 5007 m n.p.m. Ostre skały. Postrzępione i poszarpane. Mocno kontrastujące z błękitnym niebem. W oddali inne postrzępione szczyty od jasno- do ciemnoszarych na tle błękitu. Przeróżającego ostrego błękitu. Łód błyszcząca w kałużach. Ostre słońce. Zimno.

Stacja niżej. Mężczyzna odziany w czerwień dalej siedzi na środku sali na stacji i gra na skrzypcach. Na czymś w rodzaju czterostrunowej gitary wtóruje mu inny człowiek. Ten siedzący na krześle trochę przypomina Pana Górala z Krupówek. Strój ludowy i brzęczenie na skrzypcach. Ale chyba ten z Zakopanego bardziej rzępoli. Rozstaje się z Belgami- oni idą 6 godzinnym szlakiem na wysokości ponad 4 tys. m do wioski Los Nevados. Tam w nocy śpią i wracają jeepem do Meridy. Ponieważ jest to jedyna trasa oferowana i szeroko reklamowana w Andach przez wszystkie foldery, broszury i ulotki rezygnuje z niej... w szczególności po wizycie w Jaji. Andy zostawiam na inny raz w mglistej przyszłości.

Spacer wokół stacji. W niedalekiej odległości wiatr znowu bawi się z chmurami, podobnie jak na Roraimie. Co 3 minuty inny obraz, inna formacja chmur i kolorów. Rośliny są niskie. Ale już są. Sporo kwitnie- na drobniutki biały, średni żółty, elegancki czerwony oraz olbrzymi żółty. Te ostatnie są wytworem



Zdj. 22 Paramo, fot. A. E. Bem

całkiem sporej rośliny delikatnej w dotyku całej pokrytej czymś w rodzaju białego futerka (*Espeletia sp.*). Kamienie błyszczą się w słońcu. Trochę porostów daje ciemnozielony akcent wśród szarości i brązu. W dole czarna para oczu. Dwa jeziora. Mimo tego, iż są sporo w dole widać dokładnie ich dno. Kryształowo-przejrzysta i czysta woda. Od czasu do czasu serce przypomina mi o swoim istnieniu tłukąc jak szalone. To samo dzieje się z płucami i oddechem. Rozrzedzenie powietrza daje się szczególnie we znaki nawet przy lekkim wysiłku.



Zdj. 23 Pico Espejo, fot. A. E. Bem

Zjeżdżam kolejką w dół. Na wysokości około 3500m n.p.m. mleko. Istne mleko. Gęsta warstwa chmur pokrywa wszystko. Słupy podtrzymujące liny kolejki wyławiają się z nienacka i z nikąd. Liny, dzięki którym jedziemy znikają w nicości.

Chwilowy prześwit... małe okno mleczne... widać jakiś szczyt. Czasami wyłoni się pokręcona i pozwijana droga wzdłuż Teleferico. Pnie się ostro pod górę.

Już na dole w mieście- stragany. Jeden człowiek sprzedaje biżuterię skręcaną z drucików. Podobna do tej, którą kiedyś nauczyła nas robić pewna Pani z Muzeum Narodowego w Warszawie. Jednak zauważam dwa nowe elementy, których nie umiem

skręcić. Długowłosa artystka za wszelką cenę chce mi sprzedać jeden z własnoręcznie zrobionych kompletów, na który składa się naszyjnik, bransoletka oraz kolczyki z zielonymi paciorkami. Mówi tak po angielsku, jak i ja po hiszpańsku... czyli prawie wcale. Jednak po chwili dochodzi do niego, że również robię taką biżuterię, a nie znam dwóch nowych wzorów dlatego się im przyglądam. Uczy mnie jak je zrobić. Najpierw Xavier robi pokaz, a potem ja „skręcam”. Jak zrobić skorpioną z drutu też mi pokazuje. Dostaję również matryce dla nowych wzorów. Xavier inaczej też łączy poszczególne elementy ze sobą. Wydaje mi się, że jego sposób jest lepszy. Też mnie nauczył.

Pokój w posadzie. Pakuje się. Tomek z Radkiem wychodzą jutro na szlak. Startują z Meridy. Chcą zdobyć Pico Bolivar. Paula z Mariuszem jeszcze nie wiedzą co chcą robić.

Ostatni wspólny posiłek z Tomkiem i Radkiem. Nie wiemy kiedy się znowu zobaczymy. Z Radkiem powinnam się zobaczyć na lotnisku za ponad tydzień. Z Tomkiem- nie wiem. Zostaje jeszcze dwa tygodnie dłużej w Ameryce Południowej niż ja.

O 19:40 żegnam się ze wszystkimi i wychodzę z posady. Paula odprowadza mnie do pierwszego rogu i skręca do pizzerii na kolację. Pyta czemu nie wezmę taksówki na dworzec przecież jest daleko.

- To tylko 5 tys. bolivarów.
- Mam dwie nogi.

Dochodzę na przystanek małych autobusów i za 600 bs dojeżdżam na faktycznie peryferyjny El Terminal w Meridzie. Mój cel: Maracaibo. Nawet nie wiem, o której mam autobus.. i czy wogóle faktycznie jakiś jedzie.

Zgodnie z przypuszczeniami jakiś jechał. Za 38 tys. bs kupuje bilet na autobus na 22:30. Na miejscu mam być o 6 rano. Siedzę w dworcowej knajpie. Po chwili przychodzą Hiszpanie poznani z dzisiejszego wyjazdu na Pico Espejo. Jednak nie jadą do Maracaibo. Jadą swoją drogą.

Ja i mój plecak. Żyjemy tak jak śnimy- samotnie. Podobno tylko ludzie ze wszystkich zwierząt na Ziemi tworzą sobie samotność... na Ziemi planecie ludzi... Droga najwłaściwsza.



Zdj. 24 Andy, fot. A. E. Bem

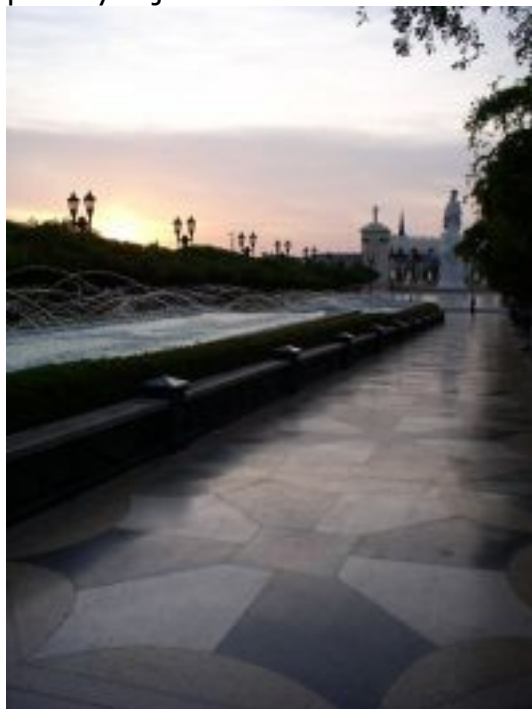
Część trzecia

2 sierpnia 2007 r., czwartek (30. dzień)

5:30 rano jestem w Maracaibo. Słońce jeszcze nie wstało. W nocy średnio się wyspałam w autokarze.

Ciemność. Dworzec. Naganiacze chcą mi sprzedać bilet do Santa Marta, do Kolumbii. Pomysł byłby całkiem fajny, gdyby nie fakt, że nie wzięłam ze sobą żółtej książeczki. A papier potwierdzający szczepienie na żółtą febrę przy wjeździe do Kolumbii jest wymagany. Mogłabym próbować z ewentualną łapówką na granicy w wysokości ok. 25 USD... Jednak nie próbuje.

Z dworca autobusowego na „stare” miasto jest ok. 1 km. Przynajmniej tak twierdzi mój LonelyPlanet. Idę pieszo. Wszystkie ulice są pozastawiane straganami. Miasto dopiero wstaje. Ludzie kręcą się już wokół straganów wykładając na nie swój towar. Przez przypadek skręcam w złą uliczkę. Miała biec wzdłuż wybrzeża jeziora Maracaibo ale jest ślepa. Po obydwu jej stronach sprzedawcy są już prawie gotowi do pracy. Wagi, owoce, wózki i skrzynki pełne owoców. Dużo wody na ulicy i każdy coś pokrzykuje.



Dochodzę do pasa zieleni otaczającego starą, kolonialną część miasta. Zieleń, ładne, duże ławki, fontanny, marmury i wstające słońce. Różowawe niebo nad otoczoną fasadą kolumn korynckich Matką Boską z Jezusem na rękach stojącą na półksiężycu. W tyle niebieski kościół. Podobno w stylu neogotyckim.

4 minuty marmurowej drogi dalej i dochodzę do Plaza Bolivar. Mnóstwo Guardia Nationale. Nie mogę wejść do podobno ładnej katedry, gdyż przyczepia się do mnie żołnierz. Coś mówi, dużo mówi. Ale co? Po kilkuminutowym wywodzie pyta skąd jestem.

- A! Karol.

I pobożnie składa ręce.

Potem mówi coś o Niemczech. Znowu kilkuminutowy potok słów.

Delikatnie daje mu do zrozumienia, że chciałabym wejść do katedry. Znowu potok słów. A dlaczego tu jest tyle wojska?

- You don't have to be afraid of national war.

- Of national what?!?!?!?

Zdj. 25 Wschód nad Maracaibo, fot. A. E. Bem

- Of national war.
- What war?!

Pięknie. Nasza grupa jest rozdzielona. Dziewczyny są gdzieś na Gran Sabanie w drodze na albo już z Roraimy. Tomek z Radkiem dziś mieli wychodzić w Andy. Paula z Mariuszem zostali w Meridzie bez planów. Ja jestem w Maracaibo o całą noc drogi od najbliższych „znajomych”. A tu mnóstwo policji i wojna? Jaka znowu wojna? Co Chavez znowu wymyślił? Pięknie.

- I don't have to be afraid of what war?

Chwila zastanowienia malująca się na twarzy wojskowego.

- Of... of... of... national.... army. You don't have to be afraid of national army.
- Ufff..

Mimo tego jednak i tak nie mogę wejść do katedry. Nie mogę wejść bo nie wiem co. Wojskowi nie chcą mnie wpuścić. Pytają za to co chcę zobaczyć w Maracaibo.

- Katedrę.

Po kilku minutach walki z wiatrakami przypomina mi się, że chciałabym też zobaczyć palafitos- dzielnicę Maracaibo wybudowaną na palach wbitych w dno jeziora. Taką właśnie jaką zobaczyli po raz pierwszy Hiszpanie u brzegów Ameryki Południowej. Podobno owych palafitos, do których można w miarę łatwo dotrzeć, są dwa- jedno tu- w Maracaibo, a drugie kilka godzin drogi od Maracaibo w Sinamaica. Santa Rosa de Agua- tak się nazywa ta wodna dzielnica w Maracaibo. Żołnierze łapią mi taksówkę, wsadzają do niej i wysyłają do Santa Rosa de Agua. Na nic się zdały moje protesty, że chcę najpierw do katedry. Po prostu mam się stąd wynosić i już!

Jedziemy dość długo. Faktycznie są to przedmieścia Maracaibo Taksówkarz też się wydaje mało zadowolony z kursu. Całą drogę nic nie mówi. Może to przez to miasto. Uważane jest za jedno z najgorętszych. Faktycznie, już rano jest tu gorąco jak w piekle.

Palafitos. Rzeczywiście są i rzeczywiście ludzie tu mieszkają. Drewniana zabudowa. Droga



Zdj. 26 Santa Rosa de Agua, fot. A. E. Bem

pomiędzy poszczególnymi domami

zrobiona jest z desek. Idąc, trzeba uważać, żeby nie wpaść przez dziurę w kładce do jeziora. Porozwieszane pranie i gdzieś płaczące dziecko są faktycznie oznaką tego, że tutaj się żyje.

Dochodzę do końca drogi i zarazem restauracji na najbogatszym jeziorze świata. Kelner, sprzątaczkę i wszystko w jednym kręci się sennie wokół drewnianych krzesel i stolików. Jest już przed 9. Balustrada wokół

ma braki w konstrukcji. Nie trzeba się bardzo starać żeby wpaść do jeziora z zieloną śmierzdzącą wodą. Po jakiś 15 minutach od momentu kiedy usiadłam przy stoliku dostaje czerwony obrus oraz menu z cenami „zakrąglonymi” w zwyż. Po kilku kolejnych minutach uniwersalny Pan- Obsługa przynosi mi skądś naturalny sok pomarańczowy. Owo skądś na pewno nie jest restauracyjną kuchnią. Prędzej kuchnią jego domu. Ale nieważne. Soki mają tu przepyszne. Plastikowy kubek nie wywiera na mnie większego wrażenia estetycznego, jak i olbrzymie kostki lodu zrobione zapewne z wody wodociągowej też są mi obojętne. Ważne, że obniżają temperaturę napoju. A to, że w plastikowym kubku może mi pływać ameba... nieważne... sok jest pyszny.



Zdj. 27 Pan Wszystko, fot. A. E. Bem

Taflę jeziora tną małe motorówki lub duże tankowce. Na drugim brzegu wyrastają kominy... wysokie, olbrzymie kominy. Ciągłe słycać silniki łodzi. Od strony jeziora wieje przyjemny, chłodny wiaterek. - Donde bonito.

Może i bonito... a może i nie. Najbogatsze jezioro świata. Po jednej stronie szyby naftowe, po drugiej indiańskie palafitos. Dym unosi się z kominów. Czarny dym.

Ogień w jednym z szybów, po tafla jeziora ślizga się motorówka, Pan- Obsługa zamiata, zielona rżesa na jeziorze faluje, a mój sok się kończy. Ogółem rzecz biorąc nie podoba mi się Maracaibo. Nie lubię tego miasta. Według przewodnia do Coro jedzie się cztery godziny. Jeszcze dziś tam pojadę. W sumie to za chwilę. Nie ma co tutaj siedzieć. Faktycznie jest nie do zniesienia gorąco, miasto duże i ludzie jacyś nie tacy... Jak w dużych miastach nastawieni na zysk. - Coro! Coro! Coro! – pokrzykuje gruby facet ze szramą na twarzy na El Terminal w Maracaibo.

Pakuje się do lokalnego autobusu z klimatyzacją naturalną jadącego do Coro. Po Maracaibo kręci się mnóstwo Guardia Nazionale i ciągle się o coś czeplają. Miasto mi się nie podoba. Wyjeżdżam.

Tuż przed mostem nad Maracaibo, przerzuconym w „wąskim gardle” jeziora, mającym ponad 8 km długości i bijącym tym samym rekord najdłuższego mostu w Ameryce Południowej, znowu Guardia Nazionale. Wszystkich z większym bagażem dokładnie przeszukują- każą otwierać walizki, torby, plecaki. Dokładna rewizja. Ja pokazuję tylko paszport i palcem wskazuje na mój wierny plecak. Na więcej się nie wysilam bo i nikt mnie o to nie prosi.

Most nad Maracaibo. Z nocnej podróży przez pół sen pamiętam tylko światła miasta odbijające się w pomarszczonej tafla jeziora przez dość długo. Jakbyśmy jechali nad brzegiem morza. Ale nie mogło to być morze.

Za dnia widok się zmienia. Widać statki. Nawet o wiele więcej statków niż z Santa Rosa de Agua. Miasto-demon zostaje za mną. Bardzo mi się nie podobało. Chyba nawet bardziej od Warszawy. Ale musiałbym się głębiej nad tym zastanowić.

Z głośników cały czas ryczy salsa nadając klimatu podróży i tworząc spójną całość ze zmieniającym się krajobrazem.

Coro. Staje przed drzwiami posady El gallo. To ta posada, którą polecali mi Belgowie spotkani w Andach podczas wjazdu na Pico Espejo. El gallo prowadzona jest przez Francuza. Podobno kupił jeden z wielu walących się kolonialnych domów, własną ciężką pracą odbudował go i prowadzi teraz posadę. Zobaczymy. Niestety, jedynym wolnym pokojem jest pokój dwuosobowy. Z ceny 40 tys. bs za noc, gospodyni schodzi do 35 tys. bs za noc. Dormitorium i wszystkie trzy hamaki są zajęte. A tam, jedno miejsce do spania kosztuje 20 tys. bs za noc. Mogę zostawić u nich plecak i poszukać po innych posadach, czy nie mają wolnych i tańszych miejsc.

Po kilkudziesięciu minutach okazuje się, że wszystkie inne posady są o wiele droższe od El gallo. Najniższa cena jaką mi zaoferowano wynosiła 70 tys. bs za noc. Moja decyzja staje się oczywista. Szczególnie, że powoli dociera do mnie, iż noc w schronisku w polskich górach kosztuje mniej więcej tyle co noc w El gallo.

Mały pokój z oknem na ogródek, małym stoliczkiem, lustrem i olbrzymim łóżkiem. Toaleta i prysznic są na korytarzu wspólne dla wszystkich gości. Kuchnia i lodówka są do również do użytku wszystkich. Atmosfera przyjazna. I czego chcieć więcej?

Przy drewnianym stole toczy się rozmowa między trzema kobietami. Tłumaczą mi drogę do supermarketu i po kilkudziesięciu minutach wracam ze składnikami na obiad. A one dalej siedzą i gadają. Gotuje sobie spaghetti na obiad. Do drewnianego stołu dosiadają się kolejni ludzie.

Poznaję coraz bardziej intrygujące osobistości. Niemkę podróżującą samą po Ameryce Południowej od kwietnia, parę Niemców, Angielkę i Finkę- najlepsze przyjaciółki, które są już prawie cały rok w podróży po całej Ameryce Południowej i Środkowej, a przed sobą mają kolejny rok Drogi. Okazuje się,



że Niemka ma taki sam plan na następne kilka dni jak ja- pojechać do Tucacas nad morze do tej

samej posady. Ponieważ terminowo jesteśmy zgodne decydujemy się na wspólny wyjazd. We dwójkę będzie taniej.

Finka z Angielką wyjeżdżają jutro rano do Kolumbii. Para z Niemiec pojechała już dziś wieczorem dokądś.

Jeżeli jutro zwolni się jakiś hamak to idę tam spać. Będzie o 15 tys. bs taniej.

Podoba mi się.

3 sierpnia 2007 r., piątek (31. dzień)

Rano miałam się pożegnać z Finką i Angielką. Przegadałyśmy pół nocy. A na koniec z rana minęłyśmy się o dwie minuty. Szkoda. Ale Ziemia jest okrągła. Więc może się jeszcze spotkamy. Ponadto, wychodzę z założenia, że ludzie o podobnym zapatrywaniu na świat kroczą podobnymi ścieżkami... więc powinniśmy się kiedyś spotkać.

Zbieram się na zjedzenie śniadania. Przy stole jacyś nowi ludzie. Pytam czy mogę się dosiąść. Przesuwają swoje siatki robiąc mi miejsce. „Polskie morze być najlepsze” czytam na pomarańczowej koszulce faceta... Podróżują po Wenezueli już ponad miesiąc, są z Wrocławia. Sympatyczni ludzie.



Zwiedzam Coro. Chodzę uliczkami. A więc najlepiej zachowane miasto kolonialne w Wenezueli jest równie odrapane jak i cała reszta. Styl kolonialny-niskie, parterowe domki pokryte czerwoną dachówką, krzykliwe kolory i charakterystyczne okna „z nóżką” zakratowane drewnem. Niektóre domy są bardzo zadbane, inne odrapane, widać, iż były kilka razy malowane na zupełnie inne kolory, odpryskująca farba. Wszystko ma swój urok.

Nawet w brzydocie.

Za 5 tys. bs szewc

naprawia mi moje ukochane sandałki- poszły szwy na paskach. Mam już je ponad cztery lata. Przeszły ze mną prawie całą dolinę Nilu- od Abu Simbel do Kairu, Hiszpanię, Szwajcarię i miałabym je zostawić na wieczność w Ameryce? Moje ukochane sandałki? Zostawić? Nigdy!

W Tucacas nie ma ani jednego wolnego hamaka na sobotę. Jest weekend... i to nas gubi. Wenezuelczycy całymi rodzinami jadą nad morze odpocząć. Wszystkie tanie miejsca do spania są zajęte. Mamy do wyboru- albo jechać i spać w pokoju za 100 USD albo zostać noc dłużej w Coro. Wybieramy z Judith drugą opcję. Rezerwujemy sobie 2 miejsca do spania

Zdj. 29 Coro, fot. A. E. Bem

w Tucacas w posiadzie Los Amigos del Mar. Nieważne czy to będą dwa łóżka, czy dwa hamaki. Ważne, że będzie gdzie się tanio przespać.

Wracając jednak do El Gallo... Judith śpi w pokoju jednoosobowym, a ja w dwu, dlatego z własnej inicjatywy przeprowadza się do mnie. Ona płaci tyle samo co wcześniej, ja o te 15 tys. bs mniej. Bardzo miło z jej strony.

Właściciel posady w Coro jest z zawodu stolarzem. Z pasji podróżnikiem. Zwiedził chyba cały świat. Trochę popracował, zbierał pieniądze, jechał dalej. We Francji po raz ostatni był 26 lat temu. Teraz prowadzi tanią i na bardzo wysokim poziomie posadę dla takich powsinóg jak i on. Uwzględnia też tych podróżujących samotnie. Ma dormitorium (obecnie zajmowane przez kilkusobową rodzinę) oraz trzy hamaki na górze. On podróżował samotnie. Wie jak to jest... drożej... ale za to niezależnie.

Posada sama w sobie jest świetna. Ludzi Drogi mających spoko kilometrów na swoim koncie też nie brak. A w sumie sami tu tacy są. Rozmowy, długie rozmowy o Drodze. Wszyscy ją kochają. Wczoraj Veevee (?) z Tracy... są już prawie rok w Drodze, będą jeszcze drugie tyle. Judith... w Drodze od kwietnia... Zwiedziła Ekwador, Peru i Boliwię. Teraz jest w Wenezueli. W ogarniętym strajkiem studentów miastem w Boliwii jechała jedynym jeżdżącym wtedy samochodem. Poznała niesamowitą ilość ludzi. Część z nich była w Drodze od roku, kilku miesięcy, kilku lat. Jedni sprzedali wszystko co mieli- samochód, dom- żeby być w Drodze, niektórzy kupili statek, żeby pływać. Inni trochę pracują w międzyczasie. Nie każdy pracował przez 30 lat żeby do końca życia jeździć. A więc... tacy ludzie są, żyją... Da się! Podróże trochę kosztują... Może trochę wygody, może trochę dobrego-rodzimego jedzenia, niestety też pieniędzy... ale... Droga... może nie cel... ale środek... narzędzie...

Droga, podróż, sacrum... Leżę w hamaku... Wieje lekki wiaterek. Pies przychodzi co chwilę dopominać się o głaskanie, syn właścicieli biega z drewnianym mieczem po posiadzie i z kimś walczy. Podobno „dniówka” w Boliwii ze wszystkim (w tym nawet jedzeniem w restauracji, na co, tu, w Wenezueli nie mogą sobie pozwolić) wynosi 6 euro.

Wiatr porusza lekko dzwoneczkami zawieszonymi gdzieś w posiadzie. Tak niewiele dni pozostało do końca... Z tym, że Droga się nigdy nie kończy... „Wraz z jedzeniem rośnie apetyt” jak padło pewnej jesieni w barze mlecznym na Grodzkiej.



Zdj. 30 Coro, z takiej ruiny Eric wybudował swoją przystań, fot. A. E. Bem

4 sierpnia 2007 r., sobota (32. dzień)

Równy miesiąc... Już cały miesiąc w Wenezueli... w Ameryce Południowej. 4 lipca opuściliśmy Europę.

Mam jakby przymusowy dzień w Coro. Ale nie ma co się pchać do Tucacas i płacić po 100 USD za noc. Lepiej poczekać w dobrym miejscu.

Wyjazd na Paraguanę- pustylny półwysep podobny do Aray, nie doszedł do skutku. Nie ma tam prawie transportu i można nieźle utknąć. Wypad w góry również się nie udał- Polacy, z którymi miałam jechać doszli do wniosku, iż najprawdopodobniej nie warto jechać trzech godzin w jedną stronę żeby zobaczyć „górkę”. Odległości w Wenezueli są spore. Ponieważ czekałam na nich aż się zbiorą prawie do południa, kiedy to oznajmili mi, że nie jadą wiele możliwości mi nie zostało. Ech.. Zostaję w Coro.



Znów chodzę sobie wąskimi uliczkami, znów te same albo bardzo podobnie i urokliwe mniej lub bardziej domki w stylu kolonialnym, i znów ten cholerny upał. Jest naprawdę gorąco.

Wieczorem huśtam się w jednym z dwóch hamaków na dole przeznaczonym do użytku wszystkich gości. Nawet nie wiem kiedy zasypiam. Budzę się już po zachodzie słońca. Syn Erica znowu biega po całej posiadzie i

Zdj. 31 Uliczki w Coro, fot. A. E. Bem

dokazuje. Tym razem ofiarą jego zainteresowania padł nie mistyczny smok, którego nie ma, ale biały kot...

Sam Eric też jest postacią ciekawą. Chudy, wysoki. Lekko przygarbiony. Dłuższe, proste włosy do ramion. Twarz... hmm... zniszczona... ale szlachetnie... Ożenił się z Wenezuelką. Ma z nią czteroletniego synka. Eric wydaje się być trochę nieobecny. Ale może to tylko pozory. Wszystko co drewniane w posiadzie zrobione zostało przez ręce Erica- od krzesła, przez stół aż po rzeźby.

Po chwili niekontrolowanego snu próbuje określić swoje miejsce w czasie i przestrzeni. W pierwszym momencie myślałam, że to już rano i znowu Droga. Po kilku chwilach jednak dociera do mnie, że to jednak wieczór, a pełna spiekoty noc przede mną. Dostaje od Erica jeden kwiatek kwitnącego tuż obok klatki z wesołymi papugami jaśminu.

5 sierpnia 2007r., niedziela (33. dzień)

Opuszczamy razem z Judith posiadę El gallo... magiczne dzwoneczki pewnie będą tam dzwonić cały czas... W ten sam sposób, cały czas- na swój sposób magicznie. Oaza spokoju i miejsce odpoczynku nienasyconych powsinóg.

Chickenbusem (zgodnie z nomenklaturą używaną przez Judith) jedziemy do Tucacas. Parada (przystanek) w Tucacas. Ale my czekamy na

El Terminal. Do tego stopnia uparcie czekamy na dworzec, że musimy wracać innym busem do jednej i jedynej parady w Tucacas... bywa... O tyle było miło, że kierowcy „naszego” chickenbusa wsadzili nas do drugiego chickenbusa jadącego „spowrotem” do Tucacas. Nic nie płacimy.

Podróżowanie po Wenezueli odbywa się w sposób przyjazny. Nie trzeba dokładnie znać godzin odjazdów środków transportu. Odjadą wtedy kiedy zbiera się komplet pasażerów. Nie trzeba też specjalnie troszczyć się o znalezienie peronu. Mimo tabliczek, na których są napisane kierunki po dworcu kręci się mnóstwo naganiaczy do busów. Nawet jeśli wykrzykiwane są kierunki zupełnie inne od tego, który nas interesuje wystarczy zapytać „krzykacza”, a on już wskaże drogę. Podróżując po Wenezueli nigdy nie miałam problemu z transportem. Na dworcu zawsze szybko udawało mi się znaleźć właściwy autobus. Z wysiadką we właściwym miejscu też nie ma problemu. Wystarczy zapytać podróżnych i sami będą się bardziej troszczyć o to, żebyśmy wysiedli we właściwym miejscu niż my sami. Jeszcze podczas naszego pobytu w Rancho Grande pojechaliśmy do El Limon. Ponieważ autobus zabrał nas spod bramy Rancho Grande z wysiadką w mieście nie było problemu. Gorzej było nam znaleźć odpowiedni autobus, a potem wysiąść za jednym z setki takich samych górskich zakrętów przed naszą stacją biologiczną. Ponieważ już na dworcu pytaliśmy o autobus do Rancho Grande nasi współtowarzysze podróży znali nasz cel. Na około cztery górskie zakręty przed tym „naszym”, w całym chickenbusie podniosła się wrzawa, że to już tu i musimy wysiadać. Miałam wrażenie, że ludzie byli bardziej przejęci od nas żebyśmy wysiedli we właściwym miejscu.

Inna równie ciekawa sytuacja miała miejsce w owym autobusie. Kiedy już zebrał się komplet pasażerów, bus ruszył. Nie wyjechaliśmy jeszcze dobrze z El Limon. Bus stanął na parkingu. Silnik zgasł. Wszyscy ludzie łącznie z kierowcą i jego pomocnikiem-naganiaczem-krzykaczem wysiedli zostawiając swoje rzeczy w środku pojazdu i skierowali się w stronę okolicznych bud. Zdezorientowani nie wiedzieliśmy co się dzieje. Po około dziesięciu minutach wszyscy spowrotem siedzieli na swoich miejscach jedząc w najlepsze arepy popijając je coca-colą. A autobus był „krótkobieżny”... Pojechaliśmy dalej.

Posada Los Amigos del Mar. Błękitna brama z wymalowaną na niej nazwą posady, konturem wybrzeża, zaznaczonymi Tucacas oraz Caracas, nurkową czerwoną flagą z białym paskiem po przekątnej wbitą w Tucacas oraz różą wiatrów po lewej stronie ukazały się naszym oczom. Przy stole z papierosem i puszką piwa siedział Norbert. Blond włosy za ucho, twarz okropna, co chwilę charkał i ciągał nosem. Pluł. Andre śpi w pokoju. Możemy po cichu zajrzeć. Śpi w pokoju, na podłodze, bezpośrednio pod hamakiem.

Nasz pokój jeszcze nie jest gotowy- znaczy nie jest posprzątany. Niemiec (bo jak się okazało Norbert jest Niemcem) tłumaczy nam, co się gdzie znajduje na głównej ulicy w Tucacas. Zostawiamy plecaki i idziemy na plażę.

Posada- hmm... ogółem intrygująca... Norbert wygląda okropnie, Andre też. Tuż za błękitną bramą wybuchamy z Judith śmiechem. Gdzie my do ciężkiej cholery jesteśmy? Co to za miejsce? Dobrze, że jesteśmy we dwie.

Idziemy na plażę... A droga długa jest... Mimo tego, że jedna to długa. Niedzielne popołudnie- Wenezuelczycy już wracają do domów, powoli. I dobrze, nie będzie tak tłoczno. Przechodzimy przez most, drogę wśród mangrowców, bramę i plażę... Karaiby! Palmy i żółty piaseczek. Dużo ludzi. Dużo ludzi pije rum albo sikowate piwo. Idziemy z Judith na prawy koniec zatoki. Znajdujemy kawałek cienia i na zmianę kąpiemy się w morzu. A raczej w zupie... Morze jest chyba cieplejsze niż powietrze... Karaiby!

Pokój w naszej posadzie- dwa łóżka, wiatrak, łazienka. Duża łazienka... z dużym prysznicem.. znaczy się z dużą kabiną prysznicową... kabiną prysznicową bez wody...

Na dole w kuchni przy stole trójka Austriaków gotuje to samo, co i my zaraz będziemy gotować- makaron z dodatkami. Jednak ugotowali go za dużo więc my tylko gotujemy zupę z proszku z pollo (kurczaka).

Kolejna nocna rozmowa... tym razem z chłopakami z południa Austrii przy butelce rumu. Podobno mają silny akcent z południa Austrii.. Do tego stopnia silny, że nawet Judith ich nie rozumie. Dlatego, jak moim niemiecko-mówiącym rozmówcom się nie zapomni posługujemy się angielskim. Rozmowa o polityce, kulturze i religii, i ogólnie o wszystkim. Fajnie, chłopaki są w moim wieku.

Kąpiemy się u nich w łazience. U nas ciągle nie ma wody.

Po ogrodzie w najlepsze biegają szczury. Od czasu do czasu jakiś przebiegnie po posadce koło naszych nóg i schowa się za lodówką. Śmiesznie wyglądają zza podmurówki- głowa i przednie łapki... Wyczekują na moment kiedy zajęci rozmową nie zauważymy ich skradających się do kosza na śmieci po kolację. Najpierw wynurza się głowa, potem przednie łapki, chwila wyczekiwania, szybki sprint i nur w koszu na śmieci, ucieczka ze zdobyczą, i możemy sobie oglądać tylko długi ogon. Karaluchy chodzące sobie po ścianach też są duże. Jak wszystko w tropikach. W rogu na suficie we wnęce kuchennej gekon konsumuje motyla nocnego.

6 sierpnia 2007 r., poniedziałek (34. dzień)

Jedziemy z tyłu na pick-upie. Norbert z Andre z przodu, a Judith, para ze Słowenii i ja z tyłu. Judith chce popływać po okolicznych wyspach motorówką, Słoweńcy popłażować na jednej z wysp, a ja ponurkować. Ze sklepu nurkowego, a raczej czegoś co nie przypomina nawet najbardziej zaniedbanego magazynu, bierzemy z Andre sprzęt i idziemy do portu.

Niebieska łódka z wypisaną nazwą „Los Amigos del Mar”. Andre steruje. Trzeba przyznać, że na morzu wygląda naprawdę dostojnie. Długie, białe włosy do ramion, rozwiana biała broda i ruchy pełne gracji

oraz elegancji. Ale tylko na morzu... w przeciwieństwie do tego, jak wygląda na lądzie- niepozornie i ... pokracznie.

Płyniemy do jednej z wysp. Zarzucamy kotwicę i do wody! Płyniemy trochę przy rafie ale potem odbijamy w Błękit na wraki. Wyłania się jeden mniejszy ciemny kształt. Za chwilę również i drugi się materializuje - nasz cel! Wrak małego statku. Osiadł lekko na boku, pokład się trochę załamał. Pod wodą Andre też wygląda dostojnie. Przepływamy przez jakąś beczkę i wracamy na rafę. Płaszczka i olbrzymia barakuda po prawej. Ryby są zupełnie inne z wyjątkiem papuzic od tych znanych mi z Morza Czerwonego. Koralowce też są inne. Bardziej pierzaste. Całe „krzewy”. Duże gąbki. Pięknie! Trochę powietrza ucieka mi przez dziurkę w ustniku w automacie i cały czas mam słony posmak w gardle. Ale co tam.

Płyniemy łódką do kolejnej wysepki. Teraz ja zarzucam kotwicę, po raz pierwszy w swoim życiu. Wychodzę na brzeg do cienia. Błękitno-zielono-różowa jaszczurka jest mną bardzo zaciekawiona. Najpierw wchodzi do mojej siatki z kanapką, potem wspina się po moich plecach, a na koniec siada na stopie.

Andre jest w wodzie. Najpierw przybiega do niego pies, a potem dwóch może dwunastoletnich chłopaczków. Siedzą we trójkę w wodzie i Andre coś im opowiada i tłumaczy. Potem wchodzi na łódkę, z której chłopcy wyposażeni w maski i płetwy od Andre wskakują do wody i nurczą.

Pływam sobie trochę w wodzie. Na koniec podpływam do Andre. Mówi mi, że chłopcy ze swoją rodziną spędzają z rodziną wakacje na wyspie. Całe rodziny wypływają łódką na okoliczne wysepki, śpią w namiotach i hamakach na wakacje. Fajnie.

Andre, sam z siebie, zaczyna swoją opowieść. Pochodzi z Belgii. Przez rok studiował biologię, jednak oblał egzaminy i w ten sposób zakończył studia. Zaczął sprzedawać piwo- bo, jak sam przyznał, to było prostsze. Jego kolega namówił go na nurkowanie. Z początku nie chciał. Ale zaczął. Nurkował w Morzu Północnym i Morzu Śródziemnym. Pływał też na statkach po Morzu Śródziemnym. Przyjaciele namówili go na wyjazd do Wenezueli. Szukali diamentów po drugiej stronie Orinoko- czyli na jej prawym brzegu. Za drugim przyjazdem do Wenezueli Andre został tu już na stałe. Pierwszy rok był dla niego okropny. Musiał się jakoś urządzić. Jest już tu 26 lat. Języka hiszpańskiego nauczył się sam na miejscu- z książek i z ulicy. Jeśli o książkach mowa, to w jego posiadaniu są one dosłownie wszędzie- na stole, podłodze, półkach... stoją na półkach nawet w toalecie. Na początku Andre pomagał pewnemu Gujańczykowi w prowadzeniu jego centrum nurkowego. Na całą Wenezuelę byli jedynymi nurkami. Potem, Andre założył własne centrum nurkowe. Dużo tańsze. Na początku przyjmował tylko licencjonowanych nurków. Nie mógł robić kursów dla początkujących, gdyż nie znał na tyle dobrze języka. Teraz już może. I robi. Co rok wraca na chwilę do Europy ale nie na długo. Nie może zostawić swojej posady samej bez gospodarza. Nawet mimo tego, że ma kilku pomocników- w tym Norberta. Pomocnikom, m.in. poznanemu

przeze mnie „Negro” w porcie raz na jakiś czas kupuje skrzynkę piwa w ramach wynagrodzenia.

Drugi nur na rafie dookoła wyspy jest równie udany, jak i pierwszy. Tuż przed samym wynurzeniem na powierzchnię dostrzegamy żółwia.

Przy sklepie Andre, gdzie zostawiamy sprzęt, dołącza do nas pies. Bardzo się cieszy na widok Andre. Jak Andre wsiada do swojego białego pick-upa i zamyka drzwi, pies skowyczy. Biegnie za samochodem całą drogę. Wsiadam gdzieś po drodze kupić sobie coś do jedzenia na obiad.

W posadzie Andre siedzi w drewnianym bujanym fotelu. U jego stóp leży pies. Dobiegł. Mimo upału i zmęczenia dobiegł. Obok w klatce, koło Andre, siedzą sobie trzy duże, kolorowe papugi. Andre wygląda trochę jakby przysypiał.

Wieczorem znowu posiłek i rozmowa z Judith i trójką z Austrii do późna.

7 sierpnia 2007 r., wtorek (35. dzień)

Po wspólnym śniadaniu, na które składał się truskawkowy jogurt z płatkami kukurydzianymi rozstajemy się Judith. Ona jedzie do Puerto Colombia, a ja do Maracay spotkać się z Dominiką i Aśką.

Rano nie ma ani Andre, ani Norberta w posadzie. Idę pochodzić po Tucacas i kupić coś do picia na drogę na czekający mnie upał. Podobno do niedawna Tucacas miało tylko jedną pustą ulicę prowadzącą do morza. Dziś, dzięki turystyce, trochę się rozbudowało.

Kiedy wracam do posady przy stole siedzi Norbert z jakimś nowym gościem posady. Jest z Włoch, z Sycylii ale mieszka i pracuje w Londynie. Nurek. Jeździł dużo, dużo też nurkował. Podobno na Malezji można dużo ponurczyć za małe pieniądze. Londynu nie lubi. Dużo stresu, zanieczyszczeń, pośpiechu i jeszcze raz stresu. Za rok wyjeżdża do Australii. Praca w Londynie pozwoliła mu zwiedzać świat. Podróżuje sam. Kilka dni temu kupił hamak i jakiś czas chce spędzić na plaży na wyspie. W Wenezueli trochę się boi. Normalnie jeździ po mieście lokalnymi autobusami ale tu woli wziąć taksówkę. Chce i lubi poznawać nowe kultury. Zazdrości Norbertowi spokoju i raj. W Londynie ma bomby w metrze, a Norbert ma tu swoją bombę- zimne piwo z puszki, jak sam mówi z przekąsem.

Pakuje się i wychodzę. Dalej w Drogę. Andre siedzi w swoim bujanym fotelu, Norbert dalej przy stole z piwem. Mówi, że ma nadzieję mnie jeszcze zobaczyć, za rok, za dwa. Życzą mi szerokiej drogi i szczęścia.

Norbert się zdradził na odchodnym. Z zawodu jest ogrodnikiem. Co nie zmienia faktu, że twarz ma rzezimieszka.

Andre... ciekawy człowiek. Wydaje się być smutny. Pierwsze wrażenie wywarł na mnie okropne. Stary pijaczyna. Ale w gruncie rzeczy to bardzo dobry człowiek. Tak mi się przynajmniej wydaje. Lubi dzieci, dzieci lubią jego. To samo jest ze zwierzętami. Kiedy zobaczyłam portret Andre za kołem sternicznym, z rozwianymi włosami i dodatkową blizną na twarzy

będącą efektem bujnej wyobraźni artysty, jak i oprawiony w ramkę tekst: „Andre is the best friend and the best friend for ever”, wszystko pokryte grubą warstwą kurzu, wydawało mi się to śmieszne, zabawne. Ale po wspólnym dniu na morzu, tej zamianie z lądowej pokraki na człowieka pełnego gracji i elegancji, rozumiem skąd tyle szacunku wywoływało imię Andre w Tucacas wśród ludzi, kiedy szukałyśmy z Judith posady Los Amigos del Mar, schowanej w bocznej uliczce za posterunkiem policji.

W trochę brudnej i rujnującej się posadzie bez wody na pierwszym piętrze zostawiam Andre i Norberta... Los Amigos del Mare...

Łapię autobus do Valencii, a potem do Maracay. Całą drogę towarzyszy mi muzyka i zmieniający się widok za oknem. Cały czas marzy mi się hamak... innym razem...



Zdj. 32 Uliczni grajkowie, fot. A. E. Bem

Jestem w hotelu. Dziewczyn jeszcze nie ma. Mamy pokój w samym centrum miasta za jakieś śmieszne pieniądze. Niezastąpiony LonelyPlanet! Wychodzę pochodzić po mieście. Maracay wydaje się być bardziej zachodnie od poprzednich miast. Na głównym placu w mieście- Indianie z Ekwadoru. W strojach pseudo-Indian Równin grają na fletni pana przeboje typu „Let it be”, tudzież „Titanic”. Kobieta zbiera pieniądze za występ oraz zachęca do zakupu płyty z ich przebojami. Dookoła zbiera się nawet sporo ludzi. Pomijając dwa utwory bardziej tradycyjne od reszty cała płyta ekwadorskiego zespołu nie przedstawia raczej większej wartości. Jakieś wyjące do księżycy wilki na okładce... Ech... Uliczni grajkowie...

Wieczorem spotkanie długo oczekiwane. Z Asią tylko na chwilę- zaraz odstawiamy ją na dworzec i jedzie do Meridy spotkać się z Tomkiem- zostają jeszcze dwa tygodnie dłużej w Wenezueli. My wylatujemy już jutro. Z Dominiką rozmowa do późna, dwie godziny snu, kąpiel w ciepłej (!) wodzie, śniadanie i ... właśnie... to już następny dzień się zaczął?

8 sierpnia 2007 r., środa (36. dzień, ostatni)

- Aguś, już szósta! Wstawaj!

6 rano... Dominika mnie budzi... tak jak zwykle w Rancho Grande...Z tym, że w Rancho Grande zamiast szóstej była 7:20.

Po dwóch godzinach snu i zeszłonocnym rumie kręci mi się w głowie. Jesteśmy w Maracay. Dziś po południu mamy samolot z Caracas do Europy. Plan nasz jest prosty- dojechać na La Bandera (dworzec autobusowy w Caracas) chickenbusem, metrem z La Bandera przebić przez centrum Caracas aż do stacji Gato Negro i dalej busem dojechać na lotnisko. Jednak przed tym wszystkim śniadanie musi być. Ostatnie

w Wenezueli. Mam nadzieję, że tym razem... Inaczej się nie ruszam i zostaje. Dwa pastelitos z kurczakiem i pomarańczowy sok na kamiennej ławce pod kościołem. Na ławce naprzeciwko siada jakiś Wenezuelczyk i robi z nas swoich przymusowych słuchaczy. Im więcej mówił, tym więcej chciał nam dalej powiedzieć. W końcu, widząc, że się zbieramy życzył nam szczęścia i wesoło pomachał.

Po raz kolejny jedziemy do Caracas. Górki porośnięte tropikalnym lasem mgielnym wyglądają już znajomo. Wioski przed Caracas, przedmieścia i miasto... jedno z najgorszych w Ameryce Południowej... i pewnie, i na świecie... Wszystkie przewodniki mówią, żeby nie być Caracas dłużej niż pół godziny. Opowieści o pięciometrowych betonowych murach otoczonych drutem kolczastym pod napięciem nie biorą się jednak z nikąd. Kraty w oknach są wszędzie. Będąc w Caracas nie można mieć więcej w portfelu jak 20-30 tys. bs. Bo po co dać się komuś okraść z pieniędzy?

La Bandera. Wysiadamy. Wychodzimy z dworca. Doczepia się do nas taksówkarz. Cztery razy albo i więcej dziękujemy za jego usługi... ale on nie daje za wygraną.

- A dokąd jedziecie?

- A na lotnisko.

- Za 80 tys. bs Was tam zawiozę.

Śmiech.

- Jestem licencjonowanym taksówkarzem.

Śmiech.

- 70 tys. bs.

Chcemy już iść.

- 50 tys.

Z prostej matematyki wychodzi po 25 tys. bs na głowę. Na lotnisko mamy dobrze ponad 30 km. Jedziemy. Cena jest w miarę rozsądna zważywszy na okoliczności.

Rozpadającą się taksówką dojeżdżamy na lotnisko. Klamka do otwierania okien jest jedna na cały samochód.

Na lotnisku spotykamy się z Paulą, Mariuszem i Radkiem. Radek z Tomkiem w swojej wyprawie na Pico Bolivar weszli na 4300m n.p.m.. Radek oficjalnie został



Zdj. 33 Kolejna taksówka... tym razem na lotnisko...
fot. A. E. Bem

andyjskim przewodnikiem Tomka. Mnie upoważnili do odbioru zwłok. Dobrze, że dowiedziałam się o tym już na lotnisku.

Samolot wystartował. Lecimy do Europy... Wielka Woda...

9 sierpnia 2007 r., czwartek (37. dzień)

Wielka Woda i Europa... Frankfurt... potem lekko opóźniony samolot do Katowic. We Frankfurcie spotykamy starszą kobietę. Drobna, siwe włosy. Leci z Melbourne przez Singapur do Katowic. Ma o wiele dłuższą drogę za sobą niż my a wydaje się wcale nie być zmęczona.

Polska. Nasze bagaże są szczegółowo sprawdzane... bo lecą z nami z Caracas. Podobno mamy „dziwne rzeczy w środku”. Naprawdę, do dziś nie wiem co jest dziwnego w metalowym durszlaku i kuchence na spirytus.

Kraków... wynajmowane mieszkanie... Drzwi otwiera mi współlokatorka. Pamiętała, że wracam dziś po południu. Wywietrzyła mi nawet w pokoju.

Jest trochę po 17stej... tam zbliża się południe.

Patrzę na mapę obu Ameryk, która wisi u mnie w pokoju na szafie... Patrzę na Wenezuelę... Na te małe kropeczki-punkciki, miasta w których byłam... Patrzę na mój plecak... Myślę o Drodze...

Wróć do Ameryki Południowej...

